Cena 1s. 6d. Rok V nr 44 (239)

LONDYN 29 października 1950

WIADOMOŚCI

TYGODNIK

Redakcja i administracja: 54, Bloomsbury St., London, W.C.1, tel. LAN 6894. — Prenumerata kwartalna 18 s., w Stanach Zjednoczonych 3 dolary, we Francji 780 fr., we Włoszech 1300 lirów, w Argentynie 26 pesów, w Brazylii 100 cruz. — Ogłoszenia: The Carlton Berry, Grand Buildings, Trafalgar Sq., W.C.2, tel. WHI 6800.

GÖSTA BORG

przełożył MICHAŁ LISIŃSKI

DZIAŁO SIĘ W WARSZAWIE*)

1

Wokół czuć było stęchłym masłem i kapustą. Słońce ziało żarem na pl. Piłsudskiego. Słychać było uporczywe brzęczenie much. Między kolumnadą budynków sztabu głównego przeświecała ciemna zieleń ogrodu Saskiego i jasny błękit nieba. Obok cokołu pomnika Poniatowskiego położył się jakiś żebrak i spał z wystającymi na bruk gołymi nogami. Przed hotelem Europejskim słychać było miarowe kroki niemieckiego posterunku. Regularnie i szybko, jak pistolet maszynowy, uderzała para bucików na wyskich obcasach w poprzek rozpalonego słońca kamiennego kwadratu. Stary Niemiec, weteran pierwszej wojny światowej, wyjął fajkę z ust:

— Ty mnie chyba zrozumiesz, jesteś przecież ze Skandynawii. My, Niemcy, popełniliśmy w tym kraju bodaj decydujący błąd. Potraktowaliśmy tych ludzi jak parjasów. A jednak to nie są ani bandyci, ani motłoch. Popatrz chociażby na nią. Nie — to są tacy sami dobrzy patrioci, jak i my. Stary jestem i byłem w tym kraju już podczas poprzedniej wojny, a teraz jestem tu już czwarty rok i poznałem ten naród. Nienawidzą nas, ale to jest zupełnie zrozumiałe. Nie jestem jednak władzą i nie mogę niczego zmienić.

Wyprostował ramiona i w zadumie śledził właścicielkę bębniących o bruk bucików, która wkrótce zniknęła za gmachem ministerstwa spraw zagranicznych. Było to we wtorek 1 sierpnia. Sierpień był gorący, pełen napięcia, rok inwazji. Słońce rozgrzało pl. Piłsudskiego, rozjarzyło w swoich błyskach Wisłę i opromieniło Warszawę. Daleko od wschodu niebo jednak ciemniało.

— Będzie deszcz, może burza, czuć to w powietrzu.

Stary żołnierz wytrząsnął fajkę i patrzył zakłopotany w niebo, po czym zniknął w głębi śmierdzącego magazynu.

Gdzieś w dali zegar wybił 5-ą. Jakiś cywil biegł w poprzek placu i omal nie wpadł pod błyszczącego Mercedesa, który wyjechał z wylotu ulicy i skowycząc syreną zahamował przed hotelem Europejskim. Fotomontaż oficerskich butów, pasów i zielonych mundurów. Potok ostrych słów, i plac znowu opustoszał. Przez chwilę cisza była niemal uciążliwa. Duży cień przesunął się przez granitową powierzchnię — czyżby już nadchodziła burza? Gdzieś na Krakowskim Przedmieściu padło kilka strzałów karabinowych. Broń maszynowa odpowiedziała jakby śpiąco i z wahaniem. Zielony budynek poczty zdawał się strzelać w niebo, i jakaś kula przeszyła ze świstem potok słońca. Głuchy wybuch wstrząsnął budynkiem. Zaczęła się niepogoda.

2

Karabin maszynowy na dachu pracował bez przerwy. Półnadzy i kapiący potem żołnierze wlekli po schodach czarno-żółte pasy amunicji. Brakowało prądu i wody. Wszystko pokryła calowa powłoka pyłu. Powietrze drżało od gorąca i dymu. Ktoś gdzieś krzyczy na całe gardło, ale wszystko tonie w niepojętym ryku. Miasto utonęło w tym świszczącym, grzmiącym, bębniącym, płonącym i śmierdzącym piekle.

3

Z rozsiekanych kulami worków barykad wysypuje się strużką piasek. Wokół pl. Piłsudskiego wiatr roznosi duże płachty workowego płótna. Drobnymi grupami przemykają się kobiety i dzieci przez kamienny czworobok. W granit uderzają granaty, wybuchają rozpaloną bielą, czerwono, fantastycznie. Od podmuchu powietrza zdają się ożywać trupy. Wymachują rękami i nogami, kiwają głowami, jakby wstrząsane histerycznym śmiechem. Śmierdzą już nie do wytrzymania, i muchy mają raj. Wiatr wywiewa w pustych oknach postrzelane na szmaty firanki. Ciężki dym wypełnia strychy. Ranni jęczą. Dlaczego rozsypano cukier po podłodze? Wszędzie siedzą muchy. Nie mogą się już prawie ruszać. Pokój utrzymany jest w białym i złotym tonie, z rokokowymi meblami, obitymi niebieskim jedwabiem. W luksusowym łożu wije się oślepiony strzałem siedemnastoletni chłopiec. Zaorał głowę w pęczniejącą masę poduszek i wyje bez przerwy. Żołnierskimi butami rozerwał błękitne okrycie z jedwabiu. Krwawiący kark obsiadły mu muchy.

4

Młody Polak siedzi skulony w krześle. Ma na sobie resztki niebieskiego ubrania, i brak mu butów. Na stole leżą jego papiery. Podchorąży Lewandowski, lat 23, ranny w r. 1939, odznaczony nielegalnie w Warszawie, oficer ordynansowy w sztabie batalionu Armii Krajowej. Wyprostowuje się i odrzuca w tył głowę. Jaka głowa! Muzyk, artysta, syn walczącej, bohaterskiej i nieśmiertelnej Polski. Długie, pięknie rzeźbione dłonie splatają się w wyraz potężnej, wybuchowej siły:

— Zdradzili nas! Zostawili na pastwę losu! Nienawidzą nas za to że jesteśmy Polakami!

Milknie. W dali płonie miasto. Niemiecki kierownik przesłuchania przesuwa ołówek między palcami. Młodzieniec poprawia biało-czerwoną opaskę i znowu mówi:

— Nie jestem zdrajcą, ale musia'em to powiedzieć. Po naszej stronie walczą komuniści. Walczą? Nie, czekają na swoją chwilę. Wyliczyli, że czerwona armia może zatrzymać się na Pradze. My mamy walczyć i wyginąć, a oni wywieszą nad Warszawą czerwony sztandar. Chcieli się nas pozbyć.

Niemiec poprawił się w krześle:

— Czy wszyscy tak myślą, jak pan?

— Tak, wszyscy dziś to wiemy, ale już jest za późno. Warszawa płonie. Został nam tylko gorzki koniec.

Niemiec nagle zainteresował się i pochylił nad stołem:

— A nie moglibyście pójść razem z nami?

Młody Polak zaśmiał się głośno i krótko:

— Wy Niemcy macie umysłowość dzieci. Słyszał pan kiedy, panie kapitanie, słowo „psychologia"? Słyszeć, to pan zapewne i słyszał, może czytał i dyskutował, ale nigdy go pan chyba nie zrozumiał.

Oczami mierzył kapitana z wyrazem wstrętu i zarazem współczucia.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, kapitan nalał sobie szklankę wódki.

— Stylowy chłopak! Szkoda, że nie jest po naszej stronie. Na zdrowie!

Krzyk kobiety przebił się poprzez głuchy łomot, i gdzieś w pobliżu zapadł się dom.

— Aż do gorzkiego końca...

5

Samochód sunął po betonowej szosie z Jabłonny do Pragi. Na południo-wschodzie wisiała na niebie od godziny potężna chmura dymu. Horyzont był nocą mgławoczerwony od krwawej plamy na południo-wschodzie.

— Krwawy bandaż w kącie sali operacyjnej wszechświata — powiedział kapelan katolicki.

To była Warszawa. Tarasami wznosiło się miasto z błękitnej Wisły żółtymi, szarymi i białymi masywami domów, parkami i kościołami. Tam był most, a dalej na prawo zamek. Na wzgórzu kościół Najświętszej Marii Panny, cytadela i zielone bloki północnych przedmieść. Dalej szerzyło się miasto zachodnimi przedmieściami, a nad wszystkim rozlewała się potężna masa pożarnego dymu. 12 km linii miasta stanowiło fantastyczne wejście do piekła.

Obok cerkwi prawosławnej na Pradze rozgrywały się sceny nie do opisania. Wyprowadzono z domów i zebrano wokół kościoła wszystkich mężczyzn. Nie pozwolono im pożegnać się z rodzinami. Tysiące kobiet i dzieci usiłowały po raz ostatni ujrzeć bodaj cień swoich mężów i ojców. Niosły ubranie, żywność, obuwie. Powstrzymywał ich żelazny płot i kordon żandarmerii. Płacząc, objęła siwa kobieta buty żandarma.

— Ty też masz matkę, daj mi spotkać syna! Patrz! mam tylko chleb w koszyku. Matko Bosko, czemu nie wolno mi mu tego dać?

Oficer wyrwał but i odwrócił się zażenowany:

— Dlaczego robicie powstanie? Dlaczego szmuglujecie w koszykach granaty?

— Nie wiedzieliśmy o powstaniu, nie zrobiliśmy nic złego, chcemy tylko spotkać naszych mężów i odejść.

Za nią błagały ze łzami setki innych kobiet. Inne znowu klęły i wymyślały. Kilka wiło się w spazmach na ziemi. Jakaś ulicznica zerwała z siebie suknie i w potoku wymyślań i śmiechu ukazywała swoją nagość, a przed nią klęczała na kolanach w żarliwej modlitwie młoda dziewczyna z twarzą Madonny. Nad wszystkim unosił się słup kurzu, brzęczały muchy, i sierpniowe słońce rozsypywało hojnie złoty żar.

6

Mężczyzn z Pragi odprowadzono z punktu zbornego, i wzdłuż parku Paderewskiego ustawiono nowe baterie. Obsługa pracowała obnażona do pasa i bez przerwy wyrzucała coraz większe serie granatów ponad Wisłą na Stare Miasto, koło katedry i na gdańskie wybrzeże. Przez lornetkę widać było biało-czerwone wstęgi, powiewające nad wieloma budynkami. Od zachodu toczył się na miasto długi na kilometr wał ognia. Walczono na Powązkach i w ghetcie. Biało-czerwone wstęgi znikały stopniowo, ale każdą trzeba było zdejmować siłą.



POŻEGNANIE

Przez most! Jego żelazna konstrukcja chroni przed małokalibrową bronią — jeżeli ma się szczęście. Na zamku siedzą patrioci. Walki toczą się poprzez pl. Zamkowy. Wokół płoną domy. Od strony mostu zieje na południe ogień karabinów maszynowych. Wzdłuż Dobrej i Solca wypatrują ofiar strzelcy wyborowi. Bednarską można przejechać tylko na pełnym gazie. Na Krakowskim Przedmieściu toczą się zaciekłe walki. Patrioci trzymają pl. Zamkowy od północy, a od południa trzaska ich broń automatyczna po obydwu stronach pomnika Kopernika. Ale karabiny i pistolety maszynowe nie podołają na dłuższą metę przeciw ciężkim czołgom i artylerii. Wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia przetaczają się czołgi „Tiger", i z każdą godziną wzrasta ilość artylerii, otaczającej skazane na śmierć miasto.

7

Walki uliczne! To była walka uliczna! Walczono o każdy dom, każdą piwnicę i każdy kanał wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, najpiękniejszej ulicy Warszawy. Tu był zamek, kościół Bernardynów, klasztor Karmelitów z potężnymi piwnicami na wino, wspaniały gmach prezydium rady ministrów, hotel Bristol, no i co więcej? Z pl. Zamkowego patrzył z 20-metrowego granatowego cokołu król Zygmunt, a ko'o pałacu Staszica był pomnik Kopernika. A dzisiaj? Jedna kupa płonących gruzów, powykręcanych belek, blach i porozbijanych cegieł.

8

Co się stało z Teresią Filipowską? Miała sklep z obrazami i wyrobami sztuki stosowanej na Krakowskim Przedmieściu. Pierwszego sierpnia przyszło do niej dwu młodych ludzi i poprosili, aby zeszła do piwnicy. Potrzebowali jej balkonu na gniazdo karabinu maszynowego. Pani Filipowska postanowiła zostać, bo niewiele wiedziała o wojnie. Miała 12-pokojowe mieszkanie i znała Paryż lepiej od Warszawy. Ale nie wiedziała, co to znaczy mieć karabin maszynowy na balkonie w takim dniu.

— Strzelali, — opowiadała później, — i oczadzone, żółte przedmioty spadały na mój dywan. Jeden spadł na jedwabną otomanę. Wzięłam go w rękę, by wyrzucić, i sparzyłam sobie palce.

Popatrzyła na ręce, jakby zapomniała, że są owinięte w popalone, brudne szmaty.

— Zaczęło świszczeć na całej ulicy i potem przyszło silne uderzenie. Wyleciały wszystkie szyby w okach. Ten młody człowiek przyczołgał się po podłodze, miał ramiona w krwi i drżał na całym ciele. Obwiązałam go obrusem i dałam mu koniaku. Potem starałam się znieść go do sklepu, ale był taki ciężki, zdaje mi się, że już nie żył. Zlękłam się bardzo i uciekłam do piwnicy. Tam już byli wszyscy, i stróżka urodziła dziecko, a nie mieliśmy wody. Wielu młodych ludzi z biało-czerwonymi opaskami przyszło do piwnicy i zmarło wśród nas. Spotkałam jednego majora, o którym myślałam, że jest w Anglii. On też umarł. Jaki dzień mamy dzisiaj? Matko Boska! To już dziesięć dni!

Śmiała się zawstydzona i zgarnęła z twarzy siwe włosy.

Wyczołgała się z rozbitej piwnicy i biegła przez ulicę, przez rozorane bruki, potknęła się na drutach i upadła na kamienie. Stała przed klasztorem Karmelitów, siwa, gruba, ubrana w na pół spaloną koszulę nocną i męskie kalosze, obwiązane na nogach sznurkiem. Światowa dama, ale czarna od sadzy krwi i potu.

— Jak wyszłam? O, ktoś mówił, że w jednej z piwnic płynie woda. Byliśmy ogromnie spragnieni, ale to była benzyna, nie woda. Płynęło jej coraz więcej i więcej. Potem miotaczami rzucono ogień do piwnicy sąsiedniego domu, i ja, proszę mnie zrozumieć, zdziczałam ze strachu.

Poprawiła znowu włosy i poczęła grzebać w klombach przed klasztorem. To był dzisiaj trzeci grób.

— To jest dziewczynka. Już śmierdzi. Panowie wiecie, z tymi muchami nie można dać sobie rady.

Tak, co to się stało z Teresią Filipowską?

9

Podwórze gmachu ministerstwa spraw zagranicznych było napakowane ludźmi, gdy uderzył w nie granat. Krew stworzyła calową czarno-czerwoną powłokę, i czołg, który przejeżdżał przez tę kałużę, obryzgał stojących ciemną masą. Jadło się z nażki, stojąc, z karabinem przez plecy. Muchy nie mogą już latać. Pełzają wszędzie, w menażkach, w kałuży krwi, po ubraniu. Żołnierze przeklinają je, przeklinają też słońce, gorącą zupę, pot i krew na podwórzu. Mieli mało czasu i napakowali kieszenie chlebem i cukrem. Odpędzali muchy z ust, dmuchali na zupę i krzyczeli sobie do uszu.

W gabinecie płk. Becka urządzono prowizoryczny ustęp. W dużej sali na pierwszym piętrze kilku Kirgizów znalazło zakonserwowane jaja i patelnię. Nie wiadomo dlaczego postanowili rozniecić ogień na parkietowej podłodze. Wycięli z ram portrety królów polskich, zmięli je i na nich smażyli jajecznicę.

10

Koło poczty głównej mieści się towarzystwo ubezpieczeniowe. Jego siedziba, drapacz chmur, był atrakcją dla turystów. Teraz stał się pożądanym punktem dla gniazd ogniowych i obserwatorów. Kto znajduje się w tej wieży, ma wszelkie szanse precyzyjnego kierowania ogniem.

Od strony pl. Piłsudskiego zasłaniała drapacz prawie bez przerwy chmura dymu. Ale w każdej minucie, kiedy dym znikał, padał żołnierz z przestrzeloną głową. W drapaczu musiał się ukrywać nieprzeciętny strzelec. Pl. Piłsudskiego nie mogli już patrioci osiągnąć inną bronią, i drapacz był jedyną możliwością obstrzału. Jeden z podoficerów nie dbał na ostrzeżenia.

— Pięć lat wojny przeszedłem i żadna kula mnie nie przedziurawiła — p..... tego cywila z jego dmuchawką.

Wyszedł na plac rozkraczony, niosąc oburącz tyle komiśnego chleba ile zdołał objąć. Jeszcze dwa kroki i byłby zniknął w otwartej bramie domu — gdy nagle nogi mu się skrzyżowały, chleb rozsypał się po bruku. Już nie dożył szóstego roku wojny.

Niemieckie działo rozbijało bezpośrednim ogniem w kawałki uzbrojony beton drapacza. Zdobywano piętro za piętrem. Wreszcie wpompowano benzynę w ruiny domu. W ciemnym błękicie sierpniowej nocy drapacz zapłonął jak olbrzymia pochodnia. W intensywnym świetle reflektorów i płonącej benzyny widać było czarne postaci wyskakujące z okien i z głuchym trzaskiem rozbijające się o bruk. W 24 godziny później wdrapaliśmy się do jeszcze gorących ruin. Nieznośny odór benzyny i trupów. Na samej górze w metrowym zagłębieniu leżał ów strzelec. Wydęte ciało w gorącym gruzie ruin. Był to potwornie zniekształcony kaleka. Plecy wykrzywiał ogromny garb, ręce miał nieproporcjonalnie długie i jedna noga sięgała drugiej tylko do kolana. A jednak wdrapał się aż tutaj, na stracony w pełnym tego słowa znaczeniu posterunek. Wiadro wody, kilka puszek konserw, setka nabo! — no i karabin. Specjalnie skonstruowany Mauzer, wykładany srebrem i kością słoniową, zaopatrzony w pierwszorzędną lornetę. W popiele leżało około 20 wystrzelonych łusek — z tego mógł naliczyć co najmniej 15 trafnych strzałów.

11

Walki o ulicę Focha i pl. Teatralny były chyba najbardziej zacięte w tym fantastycznym boju. Każda ulica była zamknięta metrowymi barykadami, leżącymi gęsto jedna za drugą. Każdej barykady broniono z niepojętym fanatyzmem. Nacierający wprowadzili do walki masę automatycznie kierowanych małych czołgów, naładowanych setkami kilogramów materiału wybuchowego. Wysyłane na barykady wybijały potworne dziury, ale w tyle mężczyźni, kobiety i dzieci budowali ciągle nowe wały. Salwy granatów rakietowych i ognia artyleryjskiego, ryk bombowców, bezpośrednio strzelających dział i czołgów. Do domów pompowano benzynę, zdobywano dom za domem, pokój za pokojem, wysadzano od piwnic, ścian i z góry. Strzelało się prosto w twarz i umierało w szaleńczym uścisku. Miotaczami rzucano ogień w napakowane ludźmi piwnice, w błocie kloacznym robiono zasadzki na nieprzyjaciela. Trupów na ulicy nie zdążono grzebać — zjadały je muchy i siekła broń automatyczna. Wiatr rozwiewał wszystko, wokół leżały rozrzucone banknoty, bielizna, biżuteria, żywność i resztki trupów. Jakaś kobieta czołgała się przez pl. Teatralny. Miała czarną suknię, rozwiane włosy, otwarte usta. Nogi były jedną masą materiału, złamanych kości i krwawiącego ciała. W ręku trzymała dziecko i cal za calem wlokła się do piwniczego dołu. Gniazdo karabinu maszynowego zdawało bawić się z nią w chowanego, raz strzelało w prawo, raz w lewo, zbliżało się i znowu znajdowało jakiś odleglejszy cel. Może i doszła do piwnicy — gdzie spaliły ją miotacze płomieni.

12

Katedra leży obok zamku. W głównym wejściu leżą trupy jeden na drugim. Zwalczono gniazdo karabinu maszynowego patriotów, ale na miejsce każdego zwalonego wyskakuje nowy. Ostrzeliwano ich ze wszystkich stron z wyjątkiem samego kościoła. Padali rozsiekani tysiącem strzałów broni maszynowej. Na lewo od kościoła zapadły się domy i utworzyły nową olbrzymią barykadę. Pierwsze po wybuchu odzyskały przytomność muchy. Wpełzły przez gorące kamienie i rzuciły się na ciepłą, czerwoną, słodką ciecz, którą ludzie tak chętnie przelewali w tym oszalałym mieście. Och, i ludzie! Strzelali, spotniali, skrwawieni, pokryci kurzem wapna i sadzą, i marli w bezlitosnym słońcu. Walczono w samym kościele. W jego trzech potężnych nawach płonęły drewniane części wnętrz. Płomienie wspinały się po ścianach ku sufitowi, i olbrzymi kryształowy świecznik runął dźwięcząc i łomocząc w piekielnym hałasie. Potężny ołtarz zamieniono na gniazdo karabinu maszynowego, i organy odpowiadały ogniem. Lekkie działka przeciwpancerne rozsiekły organy w szmaty. Całe wnętrze kościoła wypełniło się tłumiącym trzaskiem broni maszynowej, krzykiem i wyciem pożaru. Jakiś mężczyzna z poranioną twarzą spadł do zakrystii i wypluwał ohydne przekleństwa. Powietrze było ciężkie od tysiąca topniejących świec woskowych i spalonego kadzidła, krwi i gazów spalinowych. Jeden z ołtarzy zapalił się, i figura Ukrzyżowanego runęła w płomienie.

13

Po 30 dniach wyszli z piwnic. 30 dni klęski, pożaru i scen nie do opisania. 30 dni bez wody i może dwadzieścia bez jedzenia. Stutysięczna ludność Starego Miasta wytoczyła się rankiem przez wypalone ulice ku zachodowi. Koło hal targowych rozdzielał Polski Czerwony Krzyż wodę, chleb i pomidory. Stutysięczna masa przetaczała się zwolna z dziwnie pustymi oczami ku zachodowi. O kilka dzielnic dalej toczyła się walka. Ale dla tych ludzi, o których można powiedzieć, że powstali ze zmarłych, musiała to być chwila wielkiej ciszy. Mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci kuśtykali krok za krokiem ku zachodniemu skrajowi miasta.

Widać kobietę, żółto-bladą, z głową jak czaszka kościotrupa. Niesie dziecko na ramieniu, zatrzymuje się w równych odstępach czasu, bawi się z maleństwem i otula je staranniej w szmaty. Ale dziecko nie żyje, zmarło może jeszcze przed kilku dniami. Młoda dziewczyna usiłuje podtrzymać jakąś starowinę. Upadają obydwie i już nie powstają. Tylko dziewczynka jeszcze się rusza, ale przechodzący mężczyzna siada na niej i wielkimi haustami pije wodę z wiadra. Robiono próby włożenia na wozy tych, którzy już nie mogli iść. Ale liczba ich idzie w tysiące. Siostry Czerwonego Krzyża układają ludzi rzędami na chodnikach, rozdzielają łyżeczkami mleko w proszku, ale nie poradzą na to że jakiś granat uderzył w drgającą masę ludzką. Ludzie kuśtykają naprzód, upadają, podnoszą się lub czołgają. Ale wielu już nie może wstać, pozostaje na pastwę słońca i much.

14

Zakończyła się walka o Stare Miasto. Jeden z najstarszych centrów miejskich w Europie przestał istnieć. Przemienił się w kupę gruzów. Wzdłuż Podwala stoją tylko puste domy, wiele z nich runęło na ulicę. W rzeczywistości ulica podniosła się może o metr. Meble, rozbite barykady, naczynia, popiół i gruz i ze wszystkim zmieszani ludzie. Leżą wgnieceni w masę ulicy, choć wielu usiłowano pogrzebać. Podwale przemieniło się w jeden z cmentarzy Starówki. Na środku jezdni wznoszą się długie szeregi grobów. Ani materiału, ani sił nie starczyło na więcej niż niezbędnie konieczne. I wzniesienia mają wyraźne piętno swej zawartości. Mają niemal ludzki kształt, tak, w wielu razach wystaje z gruzu i popiołu ręka lub stopa. Stada wstrętnych szczurów uciekają bardzo niechętnie i niedaleko. Na jeszcze dymiących ścianach domów siadają czarne ptaszyska. Na każdym grobie stoi krzyż, zbity z tego co było pod ręką, okiennych ram, rozbitych drzwi, kawałków mebli albo złamanych karabinów. Nazwiska wypisano fioletowym ołówkiem i na wielu grobach leżą papierowe kwiaty. Niemal wszędzie stoją ogarki świec i obrazki Matki Boskiej. I zaprawdę — to ulica jest ulicą niejednej Piety, rozerwanej na sztuki, wygłodzonej albo spalonej ogniem.



WZIĘTE DO NIEWOLI KOBIETY-ŻOŁNIERZE Z ARMII KRAJOWEJ

Wiele z nich znalazło spoczynek na środku jezdni Podwala.

15

Pałacu arcybiskupi! W tym mieście zgrozy byłeś szczytowym punktem. Salwy granatów szybowały nad masywami czerwonej cegły, ale teraz znalazły wreszcie inny cel. Wybuchają gdzieś daleko w innych dzielnicach. Tutaj panuje niemal cisza i spokój. Zmarli siedzą oparci o ceglane mury, albo leżą pogrzebani pod masywami budynku. Płytkie groby znajdują się jeden obok drugiego. Jeszcze pożar nie zgasł zupełnie, i na dużych schodach ułożono wielkie ognisko. Podsyca się je wszystkim co jeszcze może się palić — i trupami. Przez długie lata widok schodów pałacu arcybiskupiego będzie odżywał w pamięci tych, co przeżyli: ciemne niebo. Zapłonęły pierwsze gwiazdy września. Nocny wiatr rozwiewa popiół, chłodny dym spalenizny i wstrętno słodki smród trupów poprzez ulice-ruiny. Od Wisły wznosi się mgła, wślizguje się do piwnic i okiennych dziur. Wreszcie nadeszła jesienna ciemność i zapuściła swą litościwą zasłonę nad zmarłym miastem. Ale ogień rozkwita płomieniem i rzuca się na wietrze. Raz krwawo czerwony, raz rozpalony do białości, szumi zwolna, by za chwilę jakby ze wściekłością rzucić się na smaczny kąsek. Trzeszczy i iskrzy się, a na szczycie stosu leży człowiek. Leży na plecach z podciągniętymi kolanami. Po karku kapie skwierczący mózg w szalejące płomienie. Nad bramą błyszczy pozłocony krzyż, i zdaje się, jakby trup wyciągnął ręce ku krzyżowi, zanim zapadł się w huczący stos. I noc zapadła nad Warszawą.

16

Od kilku dni zmieniło się położenie. Wybrzeże praskie jest w rękach czerwonej armii. Toczą się jeszcze walki o grupę domów obok zachodniej czołówki południowego mostu kolejowego. Nad punktem oporu powiewa biało-czerwona flaga, nad Pragą — czerwona. Z wyjątkiem walki o grupę domów front jest spokojny. Od wiaduktu kolejowego na Woli i od Powązek najcięższe moździerze wysypują swój ładunek na grupę domów przy moście. Nie sposób zrozumieć, jak ludzie mogą żyć po takim wybuchu. A tutaj nadchodzą one jeden za drugim. Skoro jednak tylko piechota naciera, wita ją wściekły ogień maszynowy, i nowa biało-czerwona flaga wznosi się nad dymiącymi ruinami.

Tamci po prawym brzegu stoją z bronią u nogi. To wojna między trzema partnerami. Nocą wznoszą się zielone, białe i czerwone rakiety nad rzeką i pagórkami ruin na wybrzeżach. Reflektory przemykają się szybko nad wodą i zniszczeniem, zatrzymują się na sekundę i krzyżują ze światłami pocisków. Nocą front ożywa. Rakiety świetlne wznoszą się wiązkami w ciemność, a światło reflektorów skupia się na strzaskanym profilu mostu kolejowego. Od ciemni wybrzeża odrywają się łodzie, naładowane ludźmi, powiewającymi biało-czerwonymi chorągwiami. Wiosłują we wściekłym tempie. Część załogi punktu oporu usiłuje przedostać się na prawy brzeg. Uchwyciło ich białe światło. Z prawego brzegu biegną ku łodziom fioletowe ogniki pocisków. Broń automatyczna pracuje, i kule sieką wodę wokół łodzi. Ludzie wyskakują grupami, prąd znosi łodzie. Światło reflektora trzyma je aż do chwili, kiedy krzyżowy ogień zrobił swoje. Czyżby to była omyłka?

17

Stary Rynek kąpie się w świetle księżyca. Jego prostokąt jest przeorany wzdłuż i wszerz i otoczony ruinami. Jego piękne renesansowe domy zamienił nowoczesny racjonalizm w obraz pełnego zniszczenia.

Stary człowiek stanął nagle za mną. Skąd przyszedł? Może z piwnicy, gdzie się dotychczas krył, może błądził wśród ruin swego miasta, może to nawet był duch samego miasta, który przybrał ludzką postać. Stał w białym świetle księżyca, i blask ognia migotał na jego twarzy. Fantastyczny — jak fantastyczne było to miasto. Na siwej masie włosów miał czarny, płaski kapelusz z szerokim rondem, czarna luźna zarzutka i spodnie w paski, kamasze i resztki trzewików. Wolną ręką poprawiał nieustannie czarny krawat albo przebierał palcami między szyją i wysokim kołnierzykiem. Niemyty chyba od trzydziestu dni, i palce przypominały czarne szpony. Chudą postać obsypał pył wapna, popiół, ale oczy były niewypowiedzianie duże i jasne. Chwycił mnie za ramię i ciągnął przez masy kamieni, przez olbrzymi krater bomby w południowo-wschodnim rogu, obok niewypałów i trupów. Mówił bez przerwy i trzęsły się mu nieprzyjemnie chude palce.

— Tu był dom Fukiera ze swoimi słynnymi piwnicami. Chodź! Zobacz! Zalane wodą. Masz latarkę. Poświeć tutaj!

Stary zszedł po kilku stopniach do piwnicy i grzebał kijem w wodzie.

— Popatrz tutaj! Poświeć! Popatrz! On jest tutaj znowu.

Po wodzie pływał trup mężczyzny, wzdęty, zdeformowany i czarny.

— Ten się napił fukierowskiego wina! Ha, ha, ha!

Śmiał się niemal zadowolony i nagle zapalił się znowu.

— Chodź tutaj! Mam dużo do roboty i mało czasu. Ja znam Warszawę. Słuchaj! Mam doktorat historii i literatury. O, ja znam świat! Wiesz co, jestem Polakiem, ale moja matka była ze Szczecina. Babka była ze Skandynawii, zamężna za Niemcem. Widzisz, jestem urodzony międzynarodowiec, znam ich wszystkich, Szekspira, Ibsena!

Wyszedł na plac i wyłowił kawałek chleba, zaczął go żuć. Wdrapał się na kupę gruzu i patrzył na doskonały, a przez ludzi stworzony księżycowy krajobraz.

— Popatrz, kościół się pali.

Krzyknął te słowa w rwącym kaszlu. Na Pradze paliła się prawosławna cerkiew, blask pożaru igrał nad rzeką i po twarzy starca.

— Będziemy budowali i pisali książki i będziemy wysadzali w powietrze i zabijali. Ludzie kultury! Wielu nawet nie wie za co walczy. Ale ci tam, ci wiedzą, o co walczą.

Żółty palec wskazywał na wschód.

— Oni odziedziczą nas, ludzi zachodniej kultury. Jestem Polakiem i wiem więcej niż tamci.

Palcem wskazał rozdartego trupa na placu.

— Cokolwiek chcesz, aby tobie czyniono, ty czyń bliźnim.

Wstrząsał się od śmiechu, aż śmiertelny kaszel usadził go na kupie gruzów. Wstał znowu i wstrząsnął zaciśniętymi pięściami ku niebu. Chude ciało rysowało się wyraźnie na tle płomieni, siwe włosy rozwiały się na wietrze, a on śmiał się swoim fantastycznym, gardłowym śmiechem, który toczył się nad czarnym miastem i zabrzmi echem nad całym globem.

Gösta Borg,
przełożył
Michał Lisiński.

*) Autor niniejszego reportażu jako świeżo upieczony podporucznik armii szwedzkiej wstąpił do armii fińskiej aby w latach 1939-1940 walczyć przeciwko najazdowi sowieckiemu. Potem, już jako porucznik, przeszedł do armii niemieckiej, gdzie w szeregach dywizji S.S. brał udział w bitwach pod Leningradem (1943), na Ukrainie (1944) a wreszcie w walkach z powstaniem warszawskim. Stosunek Gösty Borga do Polski i Polaków przed r. 1944 był oparty wyłącznie na informacjach propagandy niemieckiej. W czasie powstania, jak widać, uległ znacznej zmianie. Fotografie, które reprodukujemy, są nieco zniszczone. Por. Borg zdobył je w Hamburgu, przed kapitulacją miasta, z archiwum, które potem zostało spalone.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

MĘKA ZA WIARĘ ZWYCIĘSTWO*)

Wieczorem drzwi mojej celi otworzyły się znowu. Ktoś kopnięty od progu gwałtownie wtoczył się do środka jak ogromna piłka ze szmat i utonął w jamie dolnej pryczy. Po kwadransie drzwi celi uchyliły się lekko, i Zyskind wsunął przez szparę najpierw talerz dymiącej zupy, a potem kromkę chleba. Nieznajomy zerwał się z pryczy, uderzył głową o górne deski, zaklął i rzucił się na podłogę. Jadł głośno i łapczywie — mlaskając, złopiąc i siorbając gorącą ciecz, miażdżąc błyskawicznie żuchwami chleb. Trwało to wszystko nie dłużej niż minutę, po chwili bowiem usłyszałem już charakterystyczne cmokanie języka wylizującego talerz, dźwięk pustej blachy rzuconej o podłogę i zwierzęcy pomruk zadowolenia — ale wystarczyło, abym poczuł nagle kleisty smak grudki śliny, kropelki potu na czole i osłabienie bliskie utraty przytomności. Kiedy się ocknąłem, nieznajomy chrapał już pode mną, wydmuchując z przeraźliwym świstem powietrze i bełkocąc przez sen. Rano zabrano go do pracy, a wieczorem przyprowadzono znowu do mojej celi. I chociaż spędziliśmy ze sobą pięć nocy, nie zamieniliśmy nigdy ani słowa i nie widziałem ani razu jego twarzy. Gdy jadł — leżałem na górnej pryczy, obejmując wzrokiem zaledwie skrawek podłogi obok drzwi i kibel, gdy wychodził — spałem lub udawałem że śpię. W ciemnościach wieczoru widywałem tylko przez ułamek sekundy jego cień, skulony, zmięty i wtrącony od progu gwałtownym uderzeniem prosto na dolną pryczę. Nie ulegało wątpliwości, że miał odegrać wobec mnie rolę złego ducha-kusiciela, ale mimo to przywiązałem się do niego, gdyż we wlokącym się niemiłosiernie wolno strumieniu czasu był teraz jedynym trwałym punktem, o który mogłem zaczepić wydrążoną jak pusta skorupa wyobraźnię.

Czwartego dnia głodówki osłabłem już do tego stopnia że z trudem schodziłem do kibla a resztę dnia spędzałem bez ruchu na pryczy, drzemiąc niespokojnym, urywanym konwulsyjnie snem nawet w dzień. Ten gorączkowy sen przynosił mi pewną ulgę, jakgdyby pełniejszy smak samotności, ale jednocześnie pogrążał mnie w dziwnych stanach lękowych i odbierał mi powoli poczucie rzeczywistości. Nie odczuwałem ani głodu ani nawet chłodu, budziłem się natomiast często w półkrzyku, nie wiedząc w pierwszej chwili gdzie jestem i co tu robię. Bardziej realnie niż dotąd również uprzytamniałem sobie w rzadkich chwilach przytomności umysłu smutek i gorycz umierania, usiłując na próżno przypomnieć sobie całe dotychczasowe życie, jak gdybym szukał pociechy w tej możliwości spojrzenia po raz ostatni w twarz człowieka, który nosił niegdyś moje nazwisko — był mną. Ze wszystkich objawów śmierci ten proces odłączania się od własnej osobowości jest chyba najstraszniejszy i najbardziej sprzyja nawróceniu. Cóż bowiem pozostaje jeśli się nawet nie wierzy, że kiedyś, na tamtym brzegu wędrówki ziemskiej, nastąpi na powrót cudowne przeniknięcie się ciała porzuconego na deskach cierpienia i wyciekającej zeń jak krew z żył treści życia? Były to chwile, kiedy żałowałem że zeskorupiawszy w obozie nie potrafię się modlić; byłem jak jałowa, wysuszona na żużel i spękana w słońcu pustynnym skała, z której dopóty nie wytryśnie żywy zdrój, dopóki jej nie dotknie cudowna laska.

Około południa drzwi celi otworzyły się, i stanął w nich nie znany mi dotąd dygnitarz N.K.W.D. w mundurze przekreślonym na ukos pasem koalicyjnym, rozpiętym płaszczu skórzanym i czerwono-niebieskiej czapce ze złoconym godłem sowieckim. Przez ramię zaglądał mu do celi Samsonow w swym futrzanym kołpaku i zapiętej pod szyję szubie.

— Nazwisko? — rzucił ostro nieznajomy, rozgarnąwszy poły płaszcza, tak że widać było jedną dłoń opartą na pochwie pistoletu.

Uniosłem się z trudem na pryczy i wymówiłem powoli nazwisko, ale nagle wydało mi się że nieznajomy odrywa pokrywę pochwy od złotego guziczka i obejmuje wypielęgnowanymi palcami połyskującą czarno rękojeść pistoletu. Serce zabiło mi gwałtowniej, a wszystka krew zdawała się spływać do nieznośnie przepełnionego pęcherza. Przymknąłem oczy. Jak huk wystrzału padło następne pytanie:

— Przerwiesz głodówkę?

— Nie! — odpowiedziałem czym prędzej rozpaczliwym okrzykiem. — Nie, nie! — powtórzyłem szybko i opadłem na pryczę, zlany potem i czując, że pęcherz klęśnie jak przekłuta piłka.

— Trybunał wojenny! — usłyszałem jak przez sen.

Drzwi celi zamknęły się z trzaskiem.

Nie wiem jak długo spałem, ale było już szaro, gdy mnie obudziło gwałtowne pukanie w ścianę z celi T.

— Pani Z. zemdlała, — mówił gorączkowo, — zabrali ją do szpitala...

— A reszta?

— Nie wiem. Nie ma komunikacji przez pustą celę. Słyszałem dużo kroków na korytarzu. Myślałem, że ty też, bo pukam już od godziny. Grozili ci?

— Tak.

— Trzymasz się?

— Tak — odpowiedziałem po namyśle.

Pod wieczór Zyskind przyniósł mi porcję chleba i zamiast wyjść jak zwykle bez słowa, wcisnął mi do ręki skrawek papieru. Podczołgałem się do żarówki. „Jesteśmy wszyscy troje w szpitalu, — pisał B., — przerwijcie głodówkę. Teraz jest jasne, że nie doprowadzi ona do niczego". Przestukałem ten list do T., ale pokwitował go tylko przekleństwem. Zwinąłem się z ulgą do snu, gdy przez próg wpadł do celi z łomotem nieznajomy i po chwili zaczął z przejęciem żłopać na ziemi swoją zupę.

Nazajutrz obudziłem się z dziwnym uczuciem, że się duszę. Łapałem z trudem powietrze, ręce i nogi zdawały się rozsadzać ubranie i wylewać kłębami mięsa na zewnątrz, a całe ciało było jak gdyby mocno skrępowane postronkami. Nie poruszając się z miejsca, podniosłem do oczu jedną rękę — była spuchnięta tak że znikł w niej zupełnie przegub, a na obu stronach dłoni potworzyły się miękkie i obrzękłe poduszki. Podniosłem się wolno i przyjrzałem się nogom — przelewały się powyżej kostki przez brzegi gumowych trzewików. A więc to była prawda: zaczynałem puchnąć z głodu. Rozsznurowałem buty, oswobadzając pokryte krzyżującymi się pręgami stopy, i zacząłem z trudem rozdzierać wzdłuż szwów nogawki watowanych spodni. Każdy ruch sprawiał mi ukłucie bólu, gdyż musiałem oddzierać zeskorupiały puklerz z krwi i ropy od skóry, ale nie ustałem aż dopiero, gdy zobaczyłem dwie nagie i czerwone kłody nóg, pokryte wrzodami, z których sączyła się wolno żółto-różowa ciecz. Dotykałem tych nóg jakby nie były moje — palec tonął najpierw w miękkim cieście ciała, a potem odskakiwał jak od napompowanej kiszki samochodowej. Aby ściągnąć buszłat, musiałem jednak zejść z pryczy. Dopiero po wszystkim usiadłem ze zmęczenia na podłodze, oparłszy się plecami o ścianę. Teraz mogłem swobodnie puchnąć, miałem znowu dość przestrzeni. Nie było mi zimno, czułem tylko mdłość i zawroty głowy. I ani się spostrzegłem, gdy zasnąłem z głową opuszczoną na dwie miękkie i mokre od krwi poduszki nóg.

Musiało być nie później niż czwarta po południu, bo przez małe okienko przenikała jeszcze do celi smuga światła, gdy w ścianie Gorbatowa ozwało się nie pukanie, ale nerwowy łomot. Nie zmieniając prawie pozycji odstukałem i przyłożyłem ucho do szpary.

— Wyprowadzili przed chwilą siostry, — mówił szybko, — wieczorem wracam do zony. Wsiewo choroszewo.

Przeczołgałem się do przeciwległej ściany.

— Wyjrzyj przez swoje okienko, — powiedziałem, — wyprowadzili przed chwilą siostry.

— Dobrze, — odpowiedział T., — zapukam później i opowiem ci.

Czekałem przejęty niezrozumiałym strachem i podnieceniem. Głowa ciążyła mi jak dojrzała dynia, rany na obnażonych nogach przyschły w czasie snu, ale zaogniwszy się powodowały tak nieznośne swędzenie że zacząłem je znowu rozdzierać, bawiąc się bezmyślnie cienkimi strupkami. Było mi duszno i poczułem znowu parcie w pęcherzu, ale nie miałem siły wstać... Równocześnie z falą ciepła w spodniach zobaczyłem na podłodze małą kałużę.

— Widziałem — zapukał T.

— Opowiedz dokładnie — poprosiłem.

— Wyprowadzili je za zonę w stronę centralnego izolatora. Więcej nie widać, już szarzeje...

— Jak wyglądały?

— Normalnie. Trzy kobiety z rozczochranymi nieludzko włosami. Zdaje się, że jeszcze młode.

— Duży konwój?

— Dwóch strzelców ze sztykami.

— Opowiedz jeszcze. Jak szły?

— Normalnie. Nic więcej nie widziałem. Za zoną już prawie ciemno. Dobranoc.

Wdrapałem się na pryczę, kalecząc sobie nogi o krawędzie desek, i wcisnąłem się w swój kąt. Przeleżałem tak bez ruchu chleb Zyskinda, łomot ciała nieznajomego i jego zwierzęcy posiłek na ziemi. Czas płynął teraz szybko, wpadłem bowiem w stan sennego odrętwienia na jawie. Było już pewnie koło północy, gdy od strony strzelnicy rozległy się trzy krótkie salwy. Zdążyłem jeszcze jak błysk wystrzału uchwycić to ostrzeżenie, bo zaraz potem ogarnęła mnie ciemność.

Za dnia Loevenstein, który odwiedził mnie w izolatorze, nie ukrywał przede mną prawdy.

— Mój drogi, — powiedział, korzystając z chwilowej nieobecności Zyskinda, — masz zdrowe serce, ale najzdrowsze nawet serce nie potrafi długo pompować krwi do takich sparszywiałych i opuchłych nóg. Radzę ci przerwać głodówkę nielegalną — uśmiechnął się lekko — i wrócić do głodówki dozwolonej, a nawet zalecanej przez prawo. Pożyjesz sobie jeszcze trzy miesiące w ciszy i cieple „trupiarni", a do tego czasu może się przecież coś zmienić...

Odpowiedziałem przeczącym ruchem głowy. Czułem się teraz lepiej, zszedłem nawet z pryczy, żeby odprowadzić starego lekarza do drzwi. Ale tej nocy — siódmej od chwili rozpoczęcia głodówki, a szóstej w izolatorze — poczułem nagle ostry ból serca i przejmujący strach. Nie ma rzeczy gorszej niż strach bezprzedmiotowy, strach przed nieznanym, przed groźną tajemnicą, która zdaje się czaić wszędzie — tuż obok, w pobliżu gardła, przy palcach nóg, w lewym rogu klatki piersiowej... Nieznajomy poruszył się pode mną we śnie i westchnął ciężko. Odzyskałem na chwilę pewność siebie, ale gdy ucichł znowu, pomyślałem nagle nie wiadomo dlaczego, że umarł, i osunąłem się szybko z górnej pryczy na ziemię. Biłem przeraźliwie długo — wieczność całą! — w ścianę T., cały czas mając niezachwianą prawie pewność że na odległość wyciągniętej ręki leży trup, bojąc się odwrócić doń na krótką choćby chwilę plecami, aż wreszcie poczułem między zgiętymi konwulsyjnie palcami dłoni coś lepkiego i przerwałem pukanie. Nikt nie odpowiadał. A więc i on nie żyje? Zbierałem oddech do ostatniego, rozpaczliwego okrzyku, jak gdybym chciał go wydrzeć z najgłębszych trzewi tej agonii strachu przed śmiercią, gdy obok rozległo się najpierw pukanie a potem pytanie:

— Co się stało?

— Żyjesz! A więc żyjesz!

— Źle się czuję, słabo mi...

— Przerwijmy głodówkę, przegraliśmy ją gdy tamci odeszli... Rozstrzelali zakonnice...

— Ja nie — odpowiedział z nieoczekiwaną siłą.

Nie ruszyłem się z miejsca. Ale gdy nieznajomy westchnął znowu i zakrzyczał coś przez sen, usnąłem twardo pod ścianą po raz pierwszy od wielu tygodni z uczuciem spokoju.

Ósmego dnia wieczorem nieznajomy nie przyszedł jak zwykle do celi, natomiast Zyskind otworzył drzwi i kazał mi się przygotować do wyjścia.

— Dokąd? — zapytałem.

— Na wartownię — odpowiedział.

Na korytarzu czekałem chwilę, aż Zyskind otworzy drzwi T. Gdy wyszedł wreszcie, przyglądałem się przez chwilę jego obrzękłej głowie i wyczytałem w jego spojrzeniu wysiłek, jaki maluje się zazwyczaj w oczach ludzi, którzy rozpoznają z trudem znajomą twarz.

— Koniec? — zapytał cicho.

— Nie wiem, — wzruszyłem ramionami, — nie ma strzelców.

Na wartowni podpisaliśmy w obecności oficera drugiego oddziału tekst depeszy do prof. Kota, urzędującego ambasadora Rzeczypospolitej w Kujbyszewie, i ruszyliśmy z Zyskindem do małego szpitalika, który otworzono niedawno w drugim końcu zony. Szliśmy, trzymając się pod rękę, z dziwną lekkością, jak gdybyśmy się mieli za chwilę oderwać od ziemi. W zonie padał gęsty śnieg, zasypując baraki aż po jarzące się światła okien. Było cicho, pusto i spokojnie.

* * *

Uratował nam życie milczący „stary Polak" z Ukrainy dr Stankiewicz, który, wbrew otrzymanym wyraźnie instrukcjom, dał nam zamiast normalnej porcji chleba i zupy po dwa zastrzyki z mleka. Uniknęliśmy w ten sposób piorunującego skrętu kiszek i pod wieczór następnego dnia, zjadłszy pierwszy od dziewięciu dni talerz rzadkiej kaszy, wyruszyłem do latryny. W małej, prowizorycznie zbitej i osłoniętej tylko paroma deskami komóreczce, przeżyłem największą w życiu męczarnię fizyczną, gdy stwardniały na kamień żużel, z którego w ciągu ośmiu dni głodówki mój organizm wyssał wszystkie soki, torował sobie przez kiszki drogę, szarpiąc je i kalecząc do krwi. Jak żałośnie musiałem wyglądać, przykucnięty tak na oblodzonej desce w podwianym wiatrem buszłacie, i wpatrzony w smaganą zadymką śnieżną równinę oczami, z których ciekły łzy bólu i dumy!

Gustaw Herling-Grudziński.

*) por. „Bunt i samotność" w nr. 235 i „W izolatorze" w nr. 237 „Wiadomości".

W JEDNYM Z NAJBLIŻSZYCH NUMERÓW „WIADOMOŚCI"
WIELKA KRZYŻÓWKA LITERACKA UŁOŻONA PRZEZ
MARIANA HEMARA

STANISŁAW STROŃSKI

SŁOWNIK I PISARZ

Dziękuję p. Józefowi Jastrzębskiemu za uprzejmie zdziwione i rzeczowe poparte zapytanie („Wiadomości", nr 234), dlaczego, przytaczając Ferdynanda Goetla (nr 226), nie brałem milcząco współodpowiedzialności za **słuch** zamiast **słych** w wyrażeniach:

„... słuch [czytaj: słych] mówi że ... puszczane przez nas słuchy [czytaj: słychy] że" ...

Pisałem o treści uwag Goetla, a nie o jego języku, zawsze prosto i jędrnie dobrym, dobranym, doborowym. Więc najdogodniej by mi było wtedy pominąć te wyrażenia. Lecz musiałem powołać się na własne i bardzo dla rzeczy istotne wskazówki jego, że to i owo o Śmigłym-Rydzu wie nie bezpośrednio lecz tylko ze słychu (nie czytaj: słuchu), który dotarł do jego słuchu (nie czytaj: słychu).

Najkrócej mówiąc:

obok czasownika czynnego **słuchać** (kogoś, czegoś), z którym związany jest rzeczownik zabarwiony czynnie **słuch** (zmysł czyli zdolność słyszenia kogoś, czegoś i stąd np. raczej gwarowe lecz bardzo w duchu języka **powiedzieć komuś do słuchu,** t.j. tak że dobrze usłyszy),

istnieje czasownik bierny **słychać** (jest słyszane), z którym wiąże się rzeczownik zabarwiony biernie **słych** (co się słyszy, co jest słyszane).

A więc, jak **nic o nim nie słychać** (a nie: słuchać), tak też **przepadł bez słychu** (a nie bez słuchu, którego wszak nie stracił), **słych o nim zaginął,** lub **ani słychu o nim,** a tak samo powinno być w wyrażeniu Goetla: słych (to co się słyszy) **mówi że**... (nie słuch, który słucha, a nie mówi, co jest rzeczą innego zmysłu, mowy), oraz w drugim wyrażeniu Goetla: **puszczane przez nas słychy** (to co ma być słyszane) że ... (a nie słuchy, bo słuch w swym właściwym znaczeniu słuchania i słyszenia w ogóle nie ma liczby mnogiej; tylko w gwarze myśliwskiej zając ma słuchy a nie uszy, podobnie jak skoki, a nie nogi, i jak rogacz ma lustro, które widzisz gdy cię minął, ale to są właściwości nie tyle mowy ile raczej jakby umowy w swoim światku łowieckim).

A znowuż, jak mówi się: **co za oko** lub **co za wzrok**, tak też: **co za ucho** lub **co za słuch,** ale nie: **co za słych.**

Tak więc różnica pojęciowa między zabarwionym czynnie i tylko w liczbie pojedynczej istniejącym **słuchem** a zabarwionym biernie i w obu liczbach istniejącym **słychem, słychami,** jest chyba jasna i niesporna.

Ba, ale słowniki wskazują że **słuch** i **słuchy** były używane od dawna w tym samym właśnie znaczeniu, co **słych** i **słychy,** a więc tego co się słyszy, wieści, pogłoski, — powiada zgodnie z rzeczywistością p. Jastrzębski, — i powołuje się na Lindego i na Rykaczewskiego, a można by i na bliższe nam: Karłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego słownik ogólny, Karłowicza-Łosia słownik gwar polskich, nie zapominając też pomocniczo o słowniku etymologicznym Brücknera dla pradziejów naszego słownictwa.

Tak, to prawda, słowniki wskazują najwidoczniej i najwyraźniej, jak byki — (na razie bez gry słów, ale okaże się, że właśnie jak ... byki językowe) — **słuchy** tak samo jak **słychy** w znaczeniu tego co się słyszy, wieści, pogłosek.

Ale ... ale tu trzeba się porozumieć: co to są słowniki.

Zadaniem słowników, i to właśnie tych najcenniejszych, żywych i językoznawczo-naukowych, jak Linde, Karłowicz i t.d. — (a nie martwych i szkolarsko nauczających, jak mówić poprawnie a jak nie, według zasady: nie trza mówić **trza,** lecz trza mówić **trzeba**) — jest rzetelne i umiejętne zarazem podawanie świadectw jak mówiono i jak się mówi, a nie roztrząsanie i wskazywanie co jest poprawne a co nie, gdyż to wyniknie dopiero i z tych danych słownictwa poświadczonego i z innych jeszcze względów wyrozumowanych.

Otóż **słuch** w znaczeniu takim jak **słych** (co się **słyszy,** wieść, pogłoska) jest niewątpliwie poświadczony od XVI w.: u Budnego (niedobry to **słuch** kiedy o was słyszę ... **słuchy** doszły hetmana), ks. Wujka (opowiadajcie między narody a puście **słuch** ... kto uwierzył **słuchowi** naszemu), Górnickiego (był ten **słuch** w hordzie tatarskiej o Januszu); i dalej w XVI-XVII w.: u Piotra Kochanowskiego (często o nim przychodziły **słuchy** ... jak **słuchy** o tym prawdziwe), Błażowskiego (jak **słuch** był); i w XVIII w. u Troca, Warszawianina, jak zawsze dodawał przy nazwisku, wydając w Lipsku (kiedy go ten słuch dojdzie ... wiem to ze **słuchu** ... **słuch** puszczać między ludzie ... **słuch** odległych rzeczy większy niż są bywa), co wskazuje, że od początków rozkwitu naszego piśmiennictwa istnieje to użycie.

Bywa ten wyraz, i w tym znaczeniu, poświadczony także w rymie. A takie świadectwo działa na dwie strony: wzmacniająco i osłabiająco. Wzmacniająco dlatego, że w rymie odpada wątpliwość, iż to może być błąd w przepisywaniu (częstsze **słuch** zamiast rzadszego **słych**), a osłabiająco dlatego, że w rymie może to być t.zw. licentia poetica właśnie dla potrzeb rymu.

Przykłady z końca XVI, z XVII i z XVIII w.:

Gdzieś pojrzał wszędzie różne [były **słuchy,**
Szumy, szczekania, gwizdy, [zawieruchy
(Piotr Kochanowski).

Feniks na wonnym gnieździe, [jeśli **słuchy**
o tym prawdziwe, ma grób [i pieluchy
(Piotr Kochanowski).

Ztąd tysiąc krzyżów wzorki, [tysiąc dzwonów **słuchy,**
Przerażające budzą człowieka [do skruchy
(Wacław Potocki).

... dochodzą nas **słuchy**
Że się wilki maskują w baranie [kożuchy
(Trembecki).

A teraz **słych** w dawnych i nowych poświadczeniach od XVII w.: u Knapskiego (zapadł gdzieś: ni **słychu** ni widu), Eissymonta (nie masz **słychu**), Zaleskiego (wieści ni **słychu** kędy się obraca), Pola w rymie (o panu sędzi nie było i **słychu**), Lenartowicza (ani **słychu** ani dychu w dalekiej Dąbrowie), Orzeszkowej (powędrował i żadnego już o nim nie było **słychu**), Orkana (o Rakoczym **słychu**-dychu).

Szczególnie godne uwagi jest poświadczenie **słychu** w gwarach (Karłowicz-Łoś) zarówno w tych wyrażeniach związanych: ni **słychu** ni **widu,** ni **słychu** ni **dychu, słychu-dychu,** jako też w zajmującym: **słych** skrzypek zaleciał (gdzie to co się słyszy jest nie wieścią, pogłoską, lecz ogólnie dźwiękiem, głosem).

Stan rzeczy, w świetle świadectw słownictwa, jest więc taki, że obok **słychu** prawidłowo związanego z biernym **słychać,** istnieje w tym samym znaczeniu nieprawidłowo **słuch,** związany z czynnym **słuchać.**

To że wyraz częściej używany, bo jedyny dla swego pojęcia, jak **słuch,** wkracza w zakres pokrewnego wyrazu słabszego **słych,** obok którego inne, jak wieść, pogłoska, wyrażają mocniej to samo pojęcie, jest pospolitym zjawiskiem językowym upodabniania i upraszczania we wszystkich dziedzinach mowy od głosowni i odmienni do składni i słownictwa.

Ale bogactwo i giętkość języka nie płynie z uproszczeń i upodabniań lecz z rozróżniań i cieniowań, wcale nie sztucznych, ale które język sam sobie stworzył a którym zagraża nacisk uproszczeń i upodobnień.

I tu inne jest zadanie słownika, który zapisuje wszystko, a inny zew pisarza, do którego przemawia duch języka — (powiedzmy: do którego słuchu przemawia duch języka) — i który chwyta każdy odcień mowy — (powiedzmy: i który chwyta każdy słych odcieni mowy) — nurzając pióro w tej skarbnicy bez kresów i wytężając słuch na wszystkie jej słychy.

Bo przecież zubożeniem mowy jest pozbywanie się, obok **wieści, pogłoski, głosu,** całkiem własny odcień mającego **słychu,** a już po prostu psuciem mowy jest wtłaczanie dwu zupełnie różnych pojęć **słuchu** i **słychu,** które język sobie stworzył, w jeden tylko z tych dwu wyrazów.

Oto dlaczego rozróżniam między **słuchem** a **słychem** i dopominam się o to rozróżnianie, dalibóg, nie z poczucia, że zbywa mi rozumu.

— Za pozwoleniem, — powie ktoś, — dobre o sobie mniemanie jest połową szczęścia, ale to już inni osądzą, czy panu brak rozumu czy nie.

— Przepraszam, — odpowiadam, — ale przecież ja powiedziałem, że nie sądzę, iż **zbywa** mi rozumu, czyli że nie sądzę, bym go miał nadmiar do pouczania kogokolwiek.

Znowu utykamy i, do licha, czy **nie zbywa mi rozumu** znaczy, że **nie brak** mi rozumu, czy też, że nie mam **za dużo** rozumu?

Zajrzyjcie do słownika: jedno i drugie!

A użycie **zbywa mi** odmienne (brak mi) od tego które uważam za prawidłowe (mam nadmiar) jest w dzisiejszym piśmiennictwie, jak już było i dawniej, bardzo częste i obecnie bodaj zwykłe, tak iż przeciwne, wprost przeciwne, biegunowo przeciwne, a prawidłowe, zdarza się raczej wyjątkowo.

Tu najstarsze świadectwa, od połowy XVI w., wskazują zgodnie, a nie tak i owak, że czasownik nieosobowy **zbywa,** podobnie jak związany z nim rzeczownik **zbyt, zbytek** (nadmiar), znaczy, że czegoś jest za dużo a nie za mało, nadmiar a nie brak:

spyta się Jezus: jakoście wiele koszów nabrali, co ułomków **zbywało** (było nazbyt) gdym siedmioro chleba między tysiące ludu rozłamał (Murzynowski); równy występek jest gdzie co **zbywa** (jest nazbyt) jako gdzie nie dostawa (Koszutski); koń, na którym jeżdżę, nazbyt drogi, przedaj go, a kup mi tańszego, a co **zbędzie** (będzie nazbyt) niech mają ubodzy (Skarga); lepiej gdy **zbywa** niż gdy nie dostaje (Knapski); **zbywa** mu żywność, **zbywały** mu pieniądze (Troc); ów, któremu **zbywa,** ma obowiązek z prawa natury dać temu, który zgoła nie ma (ks. Pilchowski).

Podobnie **zbyt** lub **zbytek,** rzeczownik związany z tym czasownikiem, w znaczeniu nadmiaru:

— ... wieleście koszów **zbytu** (nadmiaru) ułomków chleba wzięli (Murzynowski); **zbytku** nigdy nie masz na wstydliwość (Skarga); iż bitwa mało nie do wieczora trwała, przeto **zbytek** (resztę) dnia i noc na wytchnienie odłożono (Błażowski); każdy **zbytek** (nadmiar) i rzeczy najzdrowszej szkodliwy jest (Syreniusz); można wykroczyć przeciw grzeczności nie tylko przez jej niedostatek ale też przez jej **zbytek** („Zabawy przyjemne i pożyteczne").

Wyrażenie wzmocnione (**na**) **trzy zbytki** lub **trzy zbyty** (wielki nadmiar, bardzo przesadnie, częściowo podobne do: zamknąć na trzy spusty) jest też wcześnie poświadczone:

pani jedna, słuchając często słodkich słów o pewnym młodzieńcu, którego nigdy nie widziała, jęła go sobie **na trzy zbytki** cukrować, iż nie miało już być na świecie nic godniejszego od niego (Górnicki).

Albo też:

Chudzi bracia, wierzcież mi, że [to są **trzy zbyty**
Kiedy zadek stroicie w drogie [aksamity
(Kochanowski).

Od tego znowuż **zbytu** i **zbytku** powstał czasownik pochodny **zbytkować,** już nawet nie nieosobowy, z nieokreśloną składnią (w czymś, z czegoś), w znaczeniu opływania, obfitości:

to miasto w wyśmienitych **zbytkuje** pałacach ... Francuzi **zbytkują** z modnych szat i potraw...

Znajduje się to w teatrze polskim z końca XVIII w., więc pewnie jest wprowadzone jako odpowiednik francuskiego **abonder,** co wskazuje, że w języku (także i bodaj zwłaszcza pisanym) bywają wtręty wcale nie z głębokich źródeł mowy, przygodnie lub doraźnie użyte i często przemijające bez śladu.

Ważne są natomiast świadectwa gwarowe z różnych okolic rdzennego czasownika nieosobowego **zbywać** w znaczeniu nadmiaru (Karłowicz-Łoś):

co zarobi to wyda i nic mu nie **zbędzie** ... pan porachował (pieniądze) i jesce **zbyło** ... będzie (grochu) pełna rącka i **zbędzie** ... namłócił jej trzy ćwierci i jeszcze jej **zbyło** ... nie duza nas celadecka toć **zbędzie** grochu ... co z opońców **zbyło,** na portecki było (Krakowskie).

To więc **zbywa** (jest nadmiar) jest i w duchu języka i poświadczone jak, ile i gdzie kto chce.

Ale z końca XVIII w. Linde przytacza **zbywa** nieosobowe w znaczeniu ... odwrotnym (brak jest):

nie na czasie ci **zbywa** (nie czasu ci brak) ale na sercu ... mnie na sercu zbywa? ... może mu w samej rzeczy **zbywa** na pieniądzach, bo teraz trudno o nie ... na przyzwoitych nie **zbywa** mu wygodach ...

Do tego Niedźwiedzki dodaje od połowy XVIII w.:

zbywa mi na przyjacielu, na dobrych księgach ... (Troc); bogaczom zawsze na czymś **zbywa** (Karpiński); nie **zbywa** mu na dobrych chęciach ... na chlebie, zda mi się, nie **zbędzie** człowiekowi (Chodźko).

Jest to zwrot podobny do niemieckiego (Troc w Lipsku, Karpiński w Wiedniu) **es fehlt mir an** (brak mi czegoś), zarówno w składni z tym przyimkiem, niemieckim **an** i polskim **na,** jak w znaczeniu przy nieoczekiwanym przejściu z **nadmiaru na brak.** Składnia z przyimkiem jest nieistotna dla znaczenia, bo np. Skarga mówił o zbytku **na** wstydliwości w znaczeniu nadmiaru a nie braku, przy pochodnym zaś **zbytkuje w** i **zbytkuje z** wahano się w przyimkach, a zresztą mówiło się i mówi dziś z przyimkiem (**zbywa mu na wygodach**) lub bez przyimka (**zbywa mu wygód**) narówni w znaczeniu braku. Istotą rzeczy jest tu odwrócenie znaczenia nieosobowego **zbywa z** nadmiaru na brak, co jest jawnym dziwolągiem.

Albo ... albo. Albo nadmiar albo brak. Ale nie i jedno i drugie do wyboru. Nie bądź ... bądź. Bądź nadmiar bądź brak, mów sobie zawsze jednakowo, myśl zaś tak lub odwrotnie, a ten który słucha czy czyta niech zgaduje.

Tak, **słuch** zamiast **słychu,** jak **zbywa** w znaczeniu bądź nadmiaru bądź braku (a można by tak dalej mnożyć podobne przykłady), to nie są odcienie mowy lecz wykolejenia wbrew jej duchowi.

Słowniki zapisują wszystko, i dobre i złe, bo takie jest ich powołanie, a pisarze przebierają, wybierają, dobierają, a bywa że i dorabiają jak im w słuchu zagra odwieczny słych mowy z jej przebogatego ducha.

Stanisław Stroński.

Redakcja udziała odpowiedzi zasadniczo w rubryce „Korespondencja". Na odpowiedzi listowne należy dołączać znaczki pocztowe.

PACZKI do Polski i Rosji
CENNIKI NA ŻĄDANIE
HASKOBA LTD.
29 Redcliffe Square, London, S.W.10

JAN FRYLING

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI I CESARZ MEIJI

Prof. Stanisław Stroński w liście p.t. „Tak jest: Łuka" („Wiadomości", nr 223/224), wspomniał Jezupol, położony między Stanisławowem a Haliczem, stanowiący ongi własność Wojciecha Dzieduszyckiego. Ten właśnie niezwykły człowiek, polityk, retor, polihistor, filozof, powieściopisarz, dziennikarz i facecjonista, czeka jeszcze na swego biografa. Każdy z nas, którego „szczenięce lata" upływały we Lwowie, znał mnóstwo iście rabelaisowskich powiastek, autorstwa rzekomo Dzieduszyckiego, ale oczywiście były one najmniej ważnymi błyskami tej bujnej indywidualności. Na uniwersytecie lwowskim wykładał Dzieduszycki rzadko i raczej kapryśnie. W jakimś semestrze — jak słyszałem — ogłosił seminarium „privatissime": czytanie dialogów Platona. Zwabiona tematem, zgłosiła się do niego kandydatka z prośbą o przyjęcie.

— A czy pani wie — zapytał Dzieduszycki — że ja na „privatissimach" rozmawiam tylko po grecku, filtate hetajra? Co znaczy — dodał po chwili: — najmilsza towarzyszko.

Spłoszona niewiasta uciekła.

O Jezupolu opowiadał mi sporo Kazimierz Twardowski, który spędził tam bodaj parę lat (chyba około r. 1890) jako wychowawca syna Wojciecha, Władysława. Znakomity pedagog nie przechwalał się wynikami swych jezupolskich zabiegów mentorskich. Natomiast opowiadał, między innymi wspomnieniami o swych jezupolskich czasach, że w tym właśnie okresie Dzieduszycki uległ manii spirytyzmu. Po całym dworze jezupolskim uwijały się, wirowały i stukały stoliki, a posłuszne ekierki sunęły wzdłuż arkuszy pogryzmolonych znakami alfabetu i t.d. Pewnego wieczora Dzieduszycki oświadczył zebranym, że nawiązał kontakt z duchem Zygmunta Krasińskiego, który obiecał mu podyktować dalszy ciąg „Przedświtu". Dyktowanie odbywało się odtąd przez kilka tygodni, aż powstał z tego ogromny poemat, stopniowo odczytywany Twardowskiemu przez Dzieduszyckiego. Pomny swego kuzyna na księżycu, którym się nieraz chlubił, Kazimierz ze Skrzypny Ogończyk Twardowski nie bardzo się tym czarnoksięstwem Dzieduszyckiego przejmował. Wiedział przecież, że ma do czynienia ze świadomym fałszerstwem. Ale było to — jak mnie zapewniał — fałszerstwo mistrzowskie. Ze zdumiewającą doskonałością podrobił Dzieduszycki słownictwo, rytm i rym, obrazy i treść ideową poematu Krasińskiego.

O innej facecji, zainscenizowanej przez tego niezwykłego oryginała, miałem się dowiedzieć znacznie później i to w dalekiej stronie świata.

Kiedy w r. 1927 wyjeżdżałem po raz pierwszy do Tokio, Stanisław Patek, który właśnie stamtąd powrócił, dał mi, oprócz wielu cennych rad i wskazówek, listy polecające do swych przyjaciół Japończyków i korpusu dyplomatycznego.

Nie dosyć się wie o zasługach Patka w Japonii. Był on tam pierwszym posłem Rzeczypospolitej (poprzednia misja Józefa Targowskiego nie miała jeszcze charakteru poselstwa) i na terenie nowym i obcym zdołał w ciągu lat kilku zyskać nie tylko wielką — w najlepszym słowa znaczeniu — osobistą popularność, nie tylko zdobyć szacunek i sympatię, sięgającą aż w sferę prawdziwej przyjaźni, wśród Japończyków i dyplomatów tokijskich (m.in. Claudela), ale równocześnie dobrze zasłużyć się Polsce.

Wśród jego listów polecających jeden skierowany był do hr. Nobuaki Makino, wówczas lorda strażnika pieczęci prywatnej. Wiedziałem że hr. Makino, obok ostatniego żyjącego członka rady starszych cesarza Meiji, księcia Saionji, jest najbliższym doradcą cesarza Hirohito i że wywiera bardzo poważny wpływ na tok spraw państwowych. Poprzednio służył Japonii jako poseł w Rzymie i Wiedniu (wkrótce po wojnie rosyjsko-japońskiej) oraz kolejno jako minister oświaty, rolnictwa, handlu i spraw zagranicznych. Szedłem więc, początkujący wówczas dyplomata, z uczuciem pewnego niepokoju na pierwszą rozmowę z mężem stanu, kształtującym losy wielkiego mocarstwa.

Nastrój ten prysnął natychmiast, gdy znalazłem się w obliczu hr. Makino. Jego szczerość, prostota i serdeczność tak były naturalne i stwarzały atmosferę takiej bezpośredniości że trudno było jej nie ulec. Zawdzięczałem to przyjęcie oczywiście listowi ambasadora Patka, o którym hr. Makino mówił z żywą przyjaźnią. Byłem zaskoczony ujawnioną przez niego znajomością spraw polskich, dosyć skomplikowanych w tym okresie. Później dopiero miałem się oswoić z faktem, że japońscy politycy, dyplomaci i oficerowie sztabowi nieraz wiedzieli o Polsce dużo więcej niż można było oczekiwać.

Kiedy patrzę wstecz na trzy przeszło lata spędzone w Japonii, zawsze wspominam z wdzięcznością okazywane mi przez hr. Makino życzliwość i pomoc. Szerokość jego poglądu na świat wynikała z tej filozofii życiowej, która najskuteczniej chroni od jednostronności i przejaskrawień. Toteż nie zdziwiłem się, otrzymawszy wiadomość iż podczas rewolty wojskowej w Tokio, wywołanej 26 lutego 1936 przez te same koła, które niedługo potem miały pchnąć Japonię do nieszczęsnej dla niej wojny, dokonano zamachu na życie hr. Makino. Zginął wtedy szereg najwybitniejszych polityków japońskich z admirałem wicehrabią Saito na czele, ale ks. Saionji i hr. Makino zdołali ujść z życiem.

Hr. Makino przebywał wówczas w miejscowości kąpielowej pod Tokio mając jako towarzyszkę małą swą wnuczkę, Kazuko. Około północy spiskowcy otoczyli willę, a w strzelaninie, jaka wynikła między nimi a strażą hr. Makino, padł jeden ze spiskowych oficerów i jeden ze strażników willi. W zgiełku utarczki hr. Makino, prowadzony przez wnuczkę, wyszedł tylnym wejściem i ukrył się w załomie wśród otaczających willę skał. Spiskowcy, przypuszczając że hr. Makino ukrywa się jeszcze w domu, podłożyli ogień, chcąc go zmusić do wyjścia. Płomień pożaru oświetlił pobliskie skały i postać hr. Makino, którego żołnierze natychmiast wzięli na cel. Wtedy to mała Kazuko stanęła między lufami karabinów a dziadkiem, zasłaniając go swoją drobną postacią. To bohaterstwo dziecka wzruszyło zbuntowanych żołnierzy, którzy opuścili karabiny i odeszli.

Szczegóły te zawdzięczam interesującej książce ambasadora Josepha C. Grew „Ten Years in Japan". W książce swej ambasador Grew, bystry obserwator i sprawiedliwy sędzia wydarzeń (dziś członek amerykańskiego komitetu w sprawie Katynia), nazywa hr. Makino „jednym z największych gentlemenów świata".

Był nim bez wszelkiej wątpliwości. Opowiadał mi kiedyś ksiądz Tulpin, proboszcz kościoła Serca Jezusowego na Kazumi-cho w Tokio, jakie przeżywał emocje, kiedy przed laty przyszła do niego córka hr. Makino z prośbą o przyjęcie jej na łono kościoła katolickiego. Ks. Tulpin (umarł w Tokio dożywszy prawie 90 lat, po 70 latach misjonarstwa w Japonii) nawracał Japończyków jeszcze przed edyktem tolerancyjnym cesarza Meiji. Było to niebezpieczne, ale księdzu Tulpin obca była trwoga.

— A wtedy — mówił mi — przestraszyłem się. No, niech pan pomyśli, córka Makino! Powiedziałem jej, aby mi przyniosła list od ojca.

W liście, doręczonym księdzu Tulpin następnego dnia, hr. Makino zapewniał go, że będzie szczęśliwy, jeśli córka jego przyjmie katolicyzm.

Była to pełna subtelnego uroku i żywej inteligencji, dziś nie żyjąca już żona obecnego premiera Japonii, pani Yoshida. Co niedzieli bywała w kościele na Kazumi-cho, dokąd przychodził również z dwiema prześlicznymi córkami (jedna umarła bardzo młodo) trzeci, obok ks. Saionji, i hr. Makino, japoński sygnatariusz traktatu wersalskiego, wicehrabia Kikujiro Ishii. Kiedyś po nabożeństwie niedzielnym, na placu przed kościołem, który zawsze stawał się wtedy rodzajem jakiejś garden-party, powiedział mi:

— Moje córki są katoliczkami, ja — nie. Ale msza jest tak piękna i tak mnie wzrusza, że nieraz przychodzę z nimi.

Kiedy w pierwszej rozmowie z hr. Makino wyraziłem podziw z powodu jego znajomości spraw polskich, odpowiedział:

— Polską poważniej zacząłem się interesować po r. 1905, kiedy byłem posłem w Wiedniu. Polacy odgrywali tak dużą rolę w monarchii habsburskiej, że było moim obowiązkiem zetknąć się z nimi i informować o nich mój rząd. Nawiązałem tedy łączność z grupą posłów polskich w parlamencie wiedeńskim, której przywódcy wpływali często na tok obrad parlamentarnych oraz na zmiany i tworzenie gabinetów. Wśród nich poznałem Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, mego późniejszego informatora nie tylko o Galicji, ale również i o tych częściach Polski, które należały jeszcze do Rosji i Niemiec.

„To hr. Dzieduszycki właśnie zaprojektował i zorganizował moją podróż do austriackiej części Polski. Dzięki niemu otrzymałem od generałowej hr. Zamoyskiej zaproszenie do Kuźnic, a sam hr. Dzieduszycki ofiarował mi gościnę u siebie w Jezupolu.

„Piękna to była podróż, dobrze ją pamiętam, wiele wtedy widziałem i wiele się nauczyłem.

W tym miejscu rozmowy zaczął się hr. Makino uśmiechać, poważna jego twarz, przypominająca twarze samurajów ze sztychów Sharaku, rozjaśniła się i zaczęła drgać, a wreszcie wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Zaraz panu wyjaśnią, — powiedział, opanowawszy wesołość i przecierając okulary, — z czego się śmiałem. Zawsze mnie tak rozwesela jedno wspomnienie z Jezupola, gdzie hr. Dzieduszycki okazał się najmilszym i najbardziej interesującym gospodarzem.

„Któregoś dnia zapytał mnie, czy zgodziłbym się na przyjęcie grupy chłopów jezupolskich, pragnących mnie powitać. Odpowiedziałem, że przyjmę ich bardzo chętnie, i wkrótce potem weszło do mego pokoju około dziesięciu oryginalnie przybranych włościan. Jeden z nich, starszy wiekiem, wygłosił przemówienie powitalne, nie pozbawione bardzo silnych akcentów politycznych, a następnie wywiązała się między nami wymiana pytań i odpowiedzi, w której hr. Dzieduszycki odgrywał rolę tłumacza. W pewnej chwili chłopi skupili się dokoła niego i zaczęli coś mówić szybko i bezładnie. Hr. Dzieduszycki potrząsał przecząco głową, wzruszał ramionami, rozkładał bezradnie ręce, aż wreszcie, zaciekawiony, spytałem go, czy mógłbym wiedzieć, o co tu chodzi. Ociągał się z odpowiedzią na moje pytanie.

„— Ci chłopi tutaj żądają pewnych wyjaśnień, a potem wysuwają projekty, które, obawiam się, mogłyby urazić Ekscelencję.

„Zapewniłem go, że z pewnością się nie obrażę, i dopiero wtedy, po dalszej jeszcze zwłoce, zachęcany gestami i słowami zebranych, wyjaśnił mi całą sprawę.

„— Widzi Ekscelencja, — powiedział, wskazując na chłopów, — zapytywali mnie oni, jaką religię wyznaje cesarz japoński. Kiedy im to wyjaśniłem, zafrasowali się bardzo, bo — mówią — szkoda przecie, by taki dzielny cesarz, który na łeb pobił Moskali, poszedł po śmierci do piekła. Dlatego też prosili mnie, abym zapytał Ekscelencję, czy nie dałoby się to jakoś zrobić, aby cesarz Mutsuhito*) został chrześcijaninem.

„Dzisiaj śmieję się z tego wspomnienia, — mówił hr. Makino, — ale wtedy, w Jezupolu, byłem naprawdę wzruszony. Przecież ci chłopi polscy chcieli ofiarować mojemu monarsze to co w swym rozumieniu mieli najlepszego — zbawienie duszy.

Od razu, wysłuchawszy tego opowiadania, miałem wrażenie, pod którym zostaję do dziś dnia, że stary kawalarz, Dzieduszycki, wyreżyserował tę całą scenę do ostatniego szczegółu.

Jan Fryling.

*) Pośmiertne imię — Meiji.

Puszka

PANTEON

Panteon polski jest nudny. Przeważnie także ponury. Szczęśliwsze narody pozwalają sobie na poufałość z wielkimi ludźmi. Francja przekomarza się po prostu ze swoimi najbardziej autentycznymi wielkościami. Złoża sław Francji w Panteonie paryskim mają swój odpowiednik w setkach tomów, pozbawionych rewerencji, w tysiącach anegdot, piosenek i karykatur. Nie stanowi także wyjątku porfirowy sarkofag Napoleona w kaplicy Inwalidów. Anglia, klasyczny kraj „cant"u, jest także klasycznym krajem „understatement" i chyba ojczyzną biografii historycznych w wielkim stylu. Te biografie unikają heroizowania nawet takich postaci, jak Nelson i Wellington, Szekspir i Milton. Brązownicy uchodziliby w tym kraju za ludzi nieobytych i byliby traktowani jak ktoś, co przychodzi z wizytą w smokingu, żółtych butach i zielonym krawacie.

Brązownictwo w Polsce dotyczy nie tylko ludzi, ale i zdarzeń. Są sprawy owinięte szczelną otoczką tabu, której nie wolno zrywać. Potrzeba heroicznego mitu zdaje się wynikać ze złej doli narodowej, ale jest właściwie dodatkowym nieszczęściem. Odbiera poczucie rzeczywistości. Panteon ludzi i zdarzeń przetwarza się w taki sposób w gabinet figur woskowych. Prawdziwe wielkości stają się kukłami, a zdarzenia legendami. Mitomania obejmuje zresztą nie tylko „panteon", ale i jego przedsionki i tylne schody, nie tylko wielkości, ale i każdorazowych kandydatów i każdorazową elitę.

Ostatnie trzy wieki dziejów są nieprzerwanym pasmem klęsk. Wszystkie poczynania ratownicze, począwszy od konstytucji trzeciego maja, a kończąc na powstaniu warszawskim, nie przynoszą oczekiwanych owoców. Wszystkie w retrospekcji okazują się źle przygotowane, przedwczesne albo spóźnione, nie oparte na właściwym obliczeniu sił. Wszystkie zdają się wybuchać żywiołowo, jako wyraz instynktu narodowego, niecierpliwego w uniesieniu, nie patrzącego na rzeczywistość. Wszystkie kończą się źle. Ale tu objawia się niespodziewana moc legendy — klęski stają się źródłem siły przetrwania i podnietą życia narodu. Niezaprzeczone porażki, przetworzone na mity heroiczne i ofiarne, budzą entuzjazm i wiarę nowych pokoleń. Polacy są chyba jedynym narodem, który z własnych nieszczęść czerpie siły. Dewizę „vae victis" przemienia na „vae victoribus".

*

Były nieraz próby rewizjonizmu historycznego, chłodne i mądre, ale żadna nie znalazła posłuchu w narodzie. Rozumiano je, ale ich nie ceniono. Były zaprzeczeniem złudzeń, które — paradoksalnie — miały wartość rzeczywistą. Nawoływały do realistycznej oceny rzeczywistości, co musiałoby oznaczać jakąś formę zgody na tę rzeczywistość. A polskie odrzucanie rzeczywistości objawia się w odmowie jej rozeznania. Próby realizmu, które pojawiały się po każdej klęsce, zdawały się usprawiedliwiać taką postawę. Te próby wynikały najczęściej z poczucia słabości i wyrzeczenia się samej idei oporu. Nieraz w maskę realizmu przyoblekała się zdrada. Po konstytucji trzeciego maja przyszła konfederacja targowicka. Po powstaniach — różne formy ugody. Realistyczna polityka Wielkopolskiego opierała się na najczystszym złudzeniu à rebours — na wierze, że w obrębie prymitywnej i despotycznej Rosji może istnieć miejsce dla konstytucyjnego i nowoczesnego ustroju Królestwa Polskiego. Pozytywizm warszawski wierzył, że w oparciu na swoistym materializmie, z neutralnym przyzwoleniem Rosji, przechowa i rozwinie siły twórcze narodu. Realizm stańczyków galicyjskich, proklamujący zasadę trójlojalizmu za cenę uzyskania pewnego zakresu władzy w kraju koronnym Galicji i Lodomerii, przyniósł powodzenie tylko dlatego że był z góry tak bardzo ograniczony w perspektywie. To że Galicja stała się Piemontem polskim nie tylko w kulturze, ale i w polityce, było niezamierzonym produktem ubocznym tej polityki i wprawiało stańczyków w przerażenie. Jedynym prawdziwym objawieniem realizmu w polityce polskiej w ciągu ostatnich naszych dziejów, okazuje się teraz polityka Piłsudskiego przed i w czasie pierwszej wojny światowej. Jego maniera romantyczna i gest heroiczny ujmowały serca najlepszych synów dwuch pokoleń. Ale treścią tej polityki była umiejętna ocena otaczającego splotu sił, przychylnych i wrogich i umiejętne użycie — bardzo nad stan — sił własnych. Ostatni objaw t.zw. realizmu politycznego, ucieleśniony w Mikołajczyku, jest jakby syntezą wszystkich omyłek i występków: poczucia własnej niższości, złej oceny gry sił w świecie otaczającym, złudzeń, że za cenę wyrzeczeń w sprawach zasadniczych można sobie będzie uwić gniazdo władzy z przyzwolenia nieprzyjaciela. Plon polityki realistycznej dalibóg nie starczy za przeciwstawienie ustawicznej polityce szaleństw. Sprawdzianem jej byłoby przynoszenie korzyści. Nie przyniosła jej. Była na to za krótkowzroczna, za słaba, najczęściej za głupia. Może w tym właśnie ujawnia się charakter polski: w porywach okazuje się twórczy wbrew oczywistości. W realizmie — zawodzi.

*

Bieg zdarzeń symbolizuje się w postaciach kierowniczych, w elicie. Stosunek do postaci kierowniczych także obrosły jest mitami. Zatracają się ich cechy prawdziwe, ich rzeczywisty rozmiar i ranga, nawet ich prawdziwy stosunek do zdarzeń, z którymi są związane. Nikną nieraz w cieniu wartości autentyczne, a po proscenium historii kroczą widma. Ale historyczne zapomnienia i przeceniania nie byłyby najgroźniejsze. Gorsze jest, że w życiu współczesnym mity wciąż zastępują realne spojrzenie i wartościowanie ludzi i zdarzeń.

Nie ma chyba narodu, gdzie by, mniej przywiązywano znaczenia do rzeczywistych uzdolnień ludzi, w związku z funkcjami, które im się powierza, lub które sobie sami biorą. Ocena uzdolnień jest bardzo realna, gdy chodzi o stróżów domowych, monterów czy zdunów. Ale w kształtowaniu elity, gdzie funkcje wiążą się z władzą i reprezentacją, głównie decyduje mit. W taki sposób, w Polsce niepodległej, kawalerzysta, owiany legendą wspaniałych i nieudałych szarż, zostawał wojewodą lub ministrem. Inny, na przykład adiutant, zostawał premierem. Jeszcze inny, naczelny dowódca armii, która się nigdy nie biła, został po prostu mianowany wielkim człowiekiem. Te wielkości były nieraz zwalczane, i to ostro, ale nigdy merytorycznie. Wrogowie pragnęli usunąć urojoną wielkość tylko po to, by zastąpić ją inną, nie mniej urojoną, własnego chowu. W ten sposób walka o opanowanie szczytów toczyła się obustronnie na uznanej powszechnie zasadzie zupełnego lekceważenia rzeczowych kwalifikacji. I naród to przyjmował. Tak pojmowane zagadnienie kształtowania elity w Polsce, szczególnie w dziedzinie politycznej, nie wynikało wcale z braku ludzi, lecz raczej ze świadomego przyjmowania fałszywych kryteriów. To, że chodziło o t.zw. swoich ludzi, wcale rzeczy nie tłumaczy. W Trzeciej Rzeszy i w Rosji sowieckiej przetrzebiono niezgorzej właśnie „swoich ludzi" i wychowano sobie elitę i swoją i przydatną. Człowiek przeznaczony na wysokie stanowisko bywał zresztą w Polsce nieraz całkiem trzeźwo oceniany właśnie przez swoich. Mawiano o nim, że jest osioł albo świnia. Niczemu to nie przeszkadzało.

*

Myliłby się kto by sądził, że winna jest temu tylko sanacja. Emigracja polska kształtowała się od r. 1939 jako świadome przeciwstawienie sanacji. Ale rzeczy potoczyły się dawnym torem. W rozpaczliwie trudnych warunkach polityki, prowadzonej na obcej ziemi, także nikt nie pyta o to, kto potrafi sprostać zadaniom. Walka o ludzi toczy się z wielką szkodą dla sprawy, ale z tradycyjnym pomijaniem wszelkich względów rzeczowych. Nie ma społecznego zapotrzebowania na rzeczywiste kryteria. Polacy chodzą we mgle.

Shaw powiedział kiedyś, że męczeństwo jest jedynym sposobem, przy którego pomocy człowiek pozbawiony wszelkich uzdolnień, może stać się sławny. Męczeństwo bardzo przemawia do wyobraźni Polaków. Przebyte niebezpieczeństwo i cierpienia stają się passe-partout do wszelkich dostojeństw. Byłego męczennika broni nakaz „świętości nie szargać", podobnie jak na gablotach muzealnych napis „nie dotykać". Do wysokich stanowisk urządza się nieraz prawdziwe konkursy męczenników, wyścigi, kto najbardziej się wycierpiał. Stąd powstało nawet coś, co Anglicy nazywają „vested interests". Obrona włożonego kapitału męczeństwa. Narodowa sprawiedliwość uznaje, że ten kapitał powinien przynosić zyski. Nie istnieje przy tym przedawnienie.

*

Panteon polski jest ponury nie bez przyczyny. Jest bowiem zbudowany na tragicznej potrzebie wielkości, na ślepym jej szukaniu, na mesjanistycznej wierze w przyjście bohatera, który przyniesie wybawienie. Dlatego Polacy tak często przechodzą mimo prawdy i dlatego tak zaciekle bronią swych złudzeń. Zadyszany w swej tęsknocie naród nie ma czasu na spokojne rozeznanie, boi się krytycznego spojrzenia. Może boi się także, że w swoim Panteonie, obok autentycznych wielkości, znajdzie także intruzów.

Pandora.

O RÓWNĄ MIARĘ U „PRZYJACIÓŁ MOSKALI"

Zagrożenie przez Rosję sowiecką już nie amoralnego po Jałcie pokoju z niewolą dla połowy świata i życiem na wulkanie dla drugiej jego połowy, ale zagrożenie tego co się w skrócie nazywa podstawami współczesnej kultury zachodniej i chrześcijańskiej — stawia na porządku zagadnienie przyszłej, wolnej Rosji i jej stosunku do Europy.

Od lat trzydziestu obserwujemy znamienny proces historyczny o dwu aspektach: jeden, to metodyczne przekształcanie się imperializmu sowieckiego w imperializm wyłącznie rosyjski, starego typu carskiego, lecz o ustokrotnionym dynamiźmie; drugi, to równie metodyczne zbliżanie się emigracji rosyjskiej, niezależnie od jej barwy politycznej, do zupełnej aprobaty tej dążności imperialistycznej Rosji białej czy czerwonej, Rosji od Iwana Kality i Iwana Groźnego do Stalina.

Ów imperializm rosyjski jest spójnią łączącą rząd kremliński z całą emigracją rosyjską.

Nieśmiałe obecnie próby Zachodu przeciwstawienia się imperializmowi rosyjskiemu, po uprzednim zaspokojeniu go cudzym kosztem w Teheranie i Jałcie, nie zawierają żadnej koncepcji przyszłej Rosji po obaleniu komunizmu sowieckiego, a przecież bez uregulowania losów dzisiejszej Rosji, nie ma koncepcji Europy jako całości kulturalnej, politycznej i geograficznej.

Doskonale to zrozumiała rosyjska socjal-demokracja w Ameryce, a organ jej, „Socjalisticzeskij Wiestnik", uznał za główne zadanie dnia wyjaśnienie stosunku demokracji anglosaskiej i wolnej jeszcze części świata do zagadnienia przyszłej Rosji. Nadszedł czas, kiedy — jak pisze S.W. w zeszycie lipcowym b.r. — „Ameryka zrozumie, że nie tylko na Bałkanach czy we wschodniej i środkowej Europie ważą się losy pokoju, lecz i w dalekich kątach Azji, w miastach i wsiach, których nazw dotąd nigdy nie słyszeliśmy". Polityka bowiem „umywania rąk" jest nie do przyjęcia dla nikogo, a tym bardziej dla wielkiego mocarstwa.

I rozważając możliwość bliskiego już konfliktu światowego o niepodzielny pokój i wolność dla całego świata, autor żąda ujawnienia przez Zachód swej koncepcji przyszłej Rosji oraz rozważa ewentualne niebezpieczeństwa, które mogą dla Rosji z owej koncepcji wyniknąć. I tutaj możemy w pełni zaobserwować ów proces zejścia się dróg imperializmu rosyjskiego carskiej próby z imperializmem sowieckim próby stalinowskiej.

Niejednokrotnie już publicystyka polska podkreślała jednolitość postawy emigracji rosyjskiej w zagadnieniu przyszłej Rosji. „Jedinaja i niedielimaja" przyświeca monarchistom, demokratom, socjalistom i komunistom rosyjskim. Carskie: „Precz z marzeniami!", wypowiedziane w XIX w. do Polaków w Warszawie, sowieckie: „Przez trupa Polski wiedzie droga do rewolucji światowej" — oznaczają jeden program nie tylko wobec Polski, Finlandii i narodów bałtyckich, ale przede wszystkim wobec Ukrainy i Białorusi, narodów Kaukazu i Azji. Czytelnik trzytomowej „Historii Związku Sowieckiego" może podziwiać zgodność zasadniczą tendencji autorów sowieckich z tendencjami carskich Iłowajskich.

Hasło „niedielimoj" aż bucha z programowego artykułu „Socjalisticzeskawo Wiestnika". Socjal-demokrata Dwinow obawia się chwili kiedy po wyzwoleniu Rosji mniejszości narodowe w Rosji „pójdą na wędkę domorosłych „wodzów", których tyle namnożyło się na emigracji, a których mądrość polityczna sprowadza się jedynie do powtarzania haseł szowinistycznych i siania nienawiści do innych narodów". Trudno nam uznać „mądrość polityczną" p. Dwinowa, gdy w zawoalowanej formie zaprzeczając wolności stanowienia o swym losie narodom Rosji (charakterystyczny jest ustęp o prawie narodów Rosji do rozstrzygania swych wewnętrznych spraw) i to w momencie gdy Rosja sama odzyska wolność, zalecać być może będzie — wbrew doświadczeniom przeszłości — on, socjal-demokrata rosyjski, wspólną konstytuantę i wspólne pożycie tylu narodów pod dachem jednej, od wieków uciskającej inne, narodowości rosyjskiej.

Józef Łobodowski w doskonałym szkicu p.t. „Przyjaciele Moskale" („Wiadomości", nr 234) ujął istotę zagadnienia na odcinku stosunków polsko-rosyjskich. Najsłuszniej stwierdził, że bez rewizji ze strony „przyjaciół Moskali" ich stosunku do świata, do Polski, do narodów Rosji, bez gruntownego i bezstronnego „rachunku sumienia" ze strony rosyjskiej nie ma porozumienia Rosji nie tylko z Polską i narodami dotąd przez Rosję niewolonymi, lecz i z resztą świata o innej kulturze i innej niż Rosja ideologii.

Przebywający czasu tej wojny na warunkach przymusowej gościnności Polacy w Rosji już po zawarciu układu polsko-sowieckiego z r. 1941 i odzyskaniu wolności słyszeli z ust nie dyplomatów, polityków czy mężów stanu, lecz dziesięciorzędnych wykonawców z najniższych stopni administracji sowieckiej opinie: „A wsio taki niezawisimoj Polszi nie budiet"... Tego kompleksu wrogości, zaszczepionego nie wyprawami Chodkiewiczów i Żółkiewskich na Kreml, lecz wiekami imperializmu Iwanów, nienawiści Piotrów, zachłanności Stalina — nie usunie nawe obca interwencja zbrojna w Rosji i najzgodniejszy, pełen życzliwości stosunek rosyjskich mniejszości narodowych do wolnej Rosji. Tylko praca inteligencji rosyjskiej, która powinna po dokładnym rachunku sumienia powrócić do głosu jako członek zachodniej społeczności światowej i podjąć zadanie urzeczywistnienia równych praw każdego narodu wobec tych samych dążeń wolnościowych, może przywrócić równowagę pozbawionej imperialistycznych dążności Rosji do reszty świata.

Wystąpienie „Socjalisticzeskawo Wiestnika", który tak rozsądnie reagował w r. 1941 na układ polsko-sowiecki, przypomina i nam nasze obowiązki w uprzedzaniu niebezpieczeństw grożących narodom międzymorza bałtycko-czarnomorskiego ze strony fałszywie urobionej przez socjal - demokratów rosyjskich w Ameryce opinii Zachodu w sprawie przyszłej Rosji, która wciąż chce pozostać „jedinoju i niedielimoju" kosztem narodów dojrzałych i do niepodległości i do związków międzypaństwowych, opartych na wspólności interesów.

Dla przyszłej Rosji, wyzbytej kompleksu przeszłości, będziemy żywili przyjazne uczucia, podobnie jak podziwialiśmy wielkie wartości jej nauki, literatury i sztuki, którymi od połowy XIX w. wzbogaciła kulturę światową.

Wiesław Żyliński.

W poprzednim numerze (238) „Wiadomości": **Klaudiusz Hrabyk:** Dzieje Tadeusza Wyrwy. — **Kazimierz Wierzyński:** Czemu nie jesteście moimi siostrami. — **Jan Lechoń:** Stara Warszawa. — **Zygmunt Nowakowski:** Dla zaawansowanych w angielskim. — **Zofia Bohdanowiczowa:** Modlitwa. — **Adrian Carton de Wiart**, przełożył **Krzysztof Muszkowski:** W Polsce w latach 1919 — 1939. Pięć wojen jednocześnie. — **Roman Gronowski:** Niedoszły Leonidas Belgii. — **Ignacy Wieniewski:** Smutki wiedzy radosnej. — **Władysław Günther:** Régime zagarnia Fredrę. — **Pandora:** Puszka. Ponura utopia. — **Lector:** Czasopisma krajowe. — Silva rerum. — Miscellanea. — Wydawnictwa nadesłane.

Nowe modele futer na składzie
Przeróbki i odświeżanie futer
POLSKI KUŚNIERZ
LANGER & CO. (Furier) LTD.,
1, Notting Hill Gate,
London, W.11.
Telephone: BAYswater 3773
Nowootwarty
DZIAŁ KRAWIECKI
pod kierownictwem mistrza p. Domba
Sukna pierwszej jakości na składzie
Specjalne ceny eksportowe

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI
KRZYŻE I MIECZE
Cena 6s. 6d.

CZASOPISMA OBCE

NIEMCY I FRANCJA

„Time and Tide" prowadzi stałą rubrykę „Notes on the Way", w której na zaproszenie redakcji wypowiadają się ludzie diametralnie odmiennych przekonań politycznych. Niedawno ukazał się w tym dziale artykuł Kingsleya Martina, atakujący ostro politykę goszczącego go pisma. W numerze z 23 września b.r. zabrał głos znakomity filozof hiszpański i przywódca liberałów europejskich, żyjący na wygnaniu w Londynie, Salvador de Madariaga.

Artykuł Madariagi ma charakter luźnych rozważań filozoficznych na temat wzajemnego stosunku Francji i Niemiec. „Na wschodzie — czytamy — Niemcy, naród o koczowniczym trybie życia, który na wszystko patrzył jak na coś płynnego i nieuchwytnego; naród, w którego duszy zbiorowej idee i uczucia były zawsze w nieustannym ruchu jak gnane wiatrem obłoki na niebie, nie mające dość czasu by przybrać określony kształt i profil. Na zachodzie Francuzi, naród gotowy zawsze kształtować życie w konkretnych i skończonych formach, tak że nawet najbardziej błahe zdarzenia codzienne musiały znaleźć swoje miejsce w długim łańcuchu precendensów, a najbardziej zwiewne i lotne uczucia zastygnąć i stwardnieć w czystym i wyraźnym rysunku medalu czy monety.

„Tak więc Niemcy zdają się ciągle być barbarzyńcami, którzy u progu swojej kariery historycznej gotowi są maszerować w „przyszłość", podczas gdy Francuzi podobni są do ludzi, którzy ukończyli proces doskonalenia swojej cywilizacji i nie mają innego pragnienia, niż tylko usiąść spokojnie i słuchać opowieści, i to nie dla samych opowieści nawet, ale dla sposobu w jaki się je opowiada.

„Stąd życie, które dla Niemców jest jak rzeka, dla Francuzów jest jak łańcuch czysto rżniętych kryształów. Wszystko się staje, wszystko płynie dla Niemca. Wszystko jest ograniczone wyraźnymi ramami dla Francuza i może się zmienić jedynie poprzez gwałtowne rekrystalizacje w równie ustalone formy. Ten kontrast pomiędzy sposobem widzenia i odczuwania życia jest chyba główną przyczyną napięcia pomiędzy dwoma narodami.

„Właśnie dlatego dążenie do bezpieczeństwa jest rdzeniem francuskiej polityki zagranicznej. Bezpieczeństwo jest „cri du coeur" człowieka osiadłego. Francuzi widzą w bezpieczeństwie tryumf rozumu nad dzikimi siłami natury wyzwolonymi przez wojnę, Niemcy uważają bezpieczeństwo za zaporę z papieru i zasad, zagradzającą im nieprzerwany marsz ku nieznanej przyszłości".

KASANDRA NR 2

W nr. 222 „Wiadomości" omówiliśmy artykuł C. E. M. Joada „Cassandra" o nowej książce Aldousa Huxleya „Themes and Variations". „Observer" z 1 października b.r. przynosi pod tym samym tytułem recenzję Arthura Koestlera z nowej książki Bertranda Russella „Unpopular Essays".

„Russell wyjaśnia cierpliwie ale bez obsłonek — pisze Koestler — że przed końcem obecnego stulecia, jeżeli nie zajdzie coś nieprzewidzianego, będzie musiała się spełnić jedna z trzech możliwości: a) koniec gatunku ludzkiego, b) powrót do barbarzyństwa, c) zjednoczenie świata pod władzą jednego rządu, mającego monopol na wszystkie poważniejsze środki walki. Gdyż wojny są zjawiskiem powracającym nieustannie w historii; wojna atomowa jest prędzej czy później nieunikniona, chyba że ludzkość przyjmie jakiś system, który uczyni ją niemożliwą; a jedynym takim systemem byłby rząd światowy, wyposażony w monopol na wojsko. Jeśli ten cel można będzie osiągnąć przyjaznymi rokowaniami, tym lepiej. Jeśli natomiast nie, „nie pozostanie nic innego niż tylko narzucić rząd światowy siłą".

„Czy to wszystko jest naprawdę aż takie proste? — pyta Koestler. — To zależy od punktu widzenia. Tak się złożyło, że czytałem książkę Russella w czasie podróży samolotem z Londynu do Nowego Jorku. Niepomyślne wiatry nad Atlantykiem zmusiły nas do małego zboczenia z trasy przelotu: na str. 87 wylądowaliśmy w Islandii, pomiędzy str. 140 i 160 przelecieliśmy nad Grenlandią, ostatnią stronę przeczytałem gdzieś nad Labradorem. Z lotu ptaka olbrzymiego samolotu pasażerskiego zawieszonego w czasie i przestrzeni ostrzeżenie filozofa-historyka brzmiało tak realnie, jak złowróżbny warkot motorów. Ale na planie codziennej polityki, Kasandry zawsze były, są i będą przyjmowane wzruszeniem ramion. Kiedy Niemcy zajęli Paryż w r. 1940, Winston Churchill zaproponował połączenie Francji i Wielkiej Brytanii w jedno imperium — i zdawało się, że nie może być nic prostszego. Dziś, kiedy zagrożenie cywilizacji zachodniej jest nieporównanie większe choć mniej wyraźne, każdy najskromniejszy krok w kierunku zjednoczenia Europy uważany jest za utopijny, niemożliwy, naiwny, sprzeczny z interesami narodowymi czy partyjnymi. Komunał „zjednoczenie lub zguba" stał się herezją".

W JUGOSŁAWII

Brygadier Fitzroy Maclean, b. szef brytyjskiej misji wojskowej przy głównej kwaterze partyzantów jugosłowiańskich Tita, odwiedził teraz znowu Jugosławię i podzielił się swymi wrażeniami z czytelnikami „Sunday Times"a. W numerze z 17 września b.r. znajdujemy reportaż „Tito Revisited", w którym Maclean pisze że „na przekór wszystkim gromom Kremla, Tito ciągle jeszcze żyje i sprawuje władzę. Kiedy kilka dni temu jadłem z nim obiad w komfortowej willi podmiejskiej, wyglądał tak samo twardo i pewnie siebie jak za dawnych czasów, kiedy żyliśmy razem w górach Bośni. Jest jasne, że Tito nie zamierza skapitulować ani przed Kremlem, ani oczywiście przed nikim innym. Ale jeśli Tito zdecydowany jest przetrwać, Rosjanie są równie zdecydowani zlikwidować go".

Na wypadek wojny Jugosławia rozporządza ćwierćmilionową armią dobrze wyszkolonych i bitnych żołnierzy, którzy nie będą jednak w stanie stawić czoła Rosjanom w otwartej bitwie i wycofają się przypuszczalnie — jak za czasów okupacji niemieckiej — w góry. W życiu gospodarczym daje się poważnie we znaki brak siły roboczej, waluty obiegowej, urządzeń technicznych i artykułów spożywczych. Trudność kupienia czegokolwiek za pieniądze wpłynęła na wzrost „absenteizmu" w fabrykach; chłopi wytwarzają tylko tyle żywności ile jej sami potrzebują. Rząd stoi więc w obliczu tak poważnych niedoborów aprowizacyjnych że będzie musiał nie tylko zredukować wywóz artykułów rolniczych za granicę (mimo że jest on głównym źródłem waluty zagranicznej), ale może także mieć poważne kłopoty z wyżywieniem własnej ludności.

Tito próbuje zwalczać te trudności lansowaniem nowych teorii gospodarczych. Ekonomiści jugosłowiańscy „zdają się pracować w błogim przeświadczeniu, że wystarczy ustalić, jaka jest linia polityczna Moskwy, i postępować na odwrót, aby dojść do celu". Jugosławia przeżywa więc ostrą reakcję przeciwko centralizacji i polityce sztywnej kontroli i pławi się w niezliczonej ilości sloganów na temat inicjatywy gospodarczej i wolności osobistej. Przyszłość pokaże jak sobie w praktyce da radę ten „liberalny leninizm", ale już teraz pojawiają się dowody pewnego złagodzenia kursu. Tempo rewolucji agrarnej, a zwłaszcza kolektywizacji, zwolniono; Bezpieka jugosłowiańska złagodziła nieco swoje metody postępowania, a w Belgradzie mówi się nawet o amnestii dla więźniów politycznych.

W numerze z 1 października b.r. ukazał się drugi reportaż Macleana „Mix-up in Macedonia". Stanowi on — na innym zupełnie odcinku — dalsze potwierdzenie niesłychanie skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazł się Tito. „Liberalny leninizm" każe Jugosławii podsycać uczucia narodowe wśród mniejszości terytorialnych, które znalazły się w granicach republiki federalnej. Jego naturalnym wynikiem jednak jest wzrost irredentyzmu macedońskiego właśnie w chwili, gdy Tito, wepchnięty przez Rosję w orbitę wpływów Zachodu, musi za wszelką cenę dążyć do uregulowania stosunków sąsiedzkich z Grecją.

TOŁSTOJ I BUNIN

„Listener" z 21 września b.r. przynosi pogadankę radiową Johna Lehmanna „The Soviet Treatment of Literature". Lehmann przyznaje, że sytuacja materialna pisarzy w Rosji jest często lepsza niż na Zachodzie, ale pyta słusznie: za jaką cenę? Zlikwidowanie wydawnictw prywatnych i zastąpienie ich centralnym wydawnictwem uczyniło z pisarzy sowieckich roboty, posłuszne ślepo régime'owi. „Pisarze w Związku Sowieckim robią naprawdę wrażenie udzielnych książąt: wiemy na przykład, że Aleksiej Tołstoj żył jak książę po powrocie z Paryża do Rosji i był nawet — jeśli wierzyć pewnemu opowiadaniu — dostatecznie bogaty, by zakupić piwniczkę pierwszorzędnego wina kiedy armia czerwona zajęła Wilno. Istnieje jednak jeszcze inne opowiadanie — za którego prawdziwość mogę ręczyć — że kiedy Aleksiej Tołstoj odwiedził Paryż przed wojną, spotkał się ze swoim starym przyjacielem i kolegą Buninem i starał się go namówić na powrót do Rosji, roztaczając przed nim perspektywy zaszczytów i bogactwa. Bunin odmówił. Bunin jest dziś ubogim człowiekiem; a przecież na mój smak jedna króciutka nowelka Bunina jest warta całej tej pustej pseudoepiki, którą Aleksiej Tołstoj pisał w ostatnich latach swego życia. Powód jest prosty: Bunin pozostał artystą, podczas gdy Tołstoj stał się propagandzistą".

PINGWIN I SŁOŃ

Kilka miesięcy temu „Penguin" wydał „A History of the U.S.S.R." Andrew Rothsteina, b. korespondenta Tassa w Londynie, usuniętego niedawno z katedry w londyńskiej School of Slavonic Studies. Wszystkie prawie dzienniki (z wyjątkiem, rzecz prosta, „Daily Worker"a) i tygodniki angielskie zaatakowały nietylko pseudonaukową agitkę prof. Rothsteina, ale i zasłużonego „Penguin"a za jej wydanie. Z tego zgodnego chóru oburzenia musiał się oczywiście wyłamać „New Statesman and Nation", drukując w numerze z 23 września b.r. recenzję Alexandra Wertha. Tego samego Wertha, który przed kilkoma miesiącami żalił się na łamach „Manchester Guardian", że go mimo zasług położonych na polu zbliżenia brytyjsko-sowieckiego wydalono z Czechosłowacji.

Dla Wertha Rothstein jest „znakomitym pisarzem", a jego książka jest dziełem „wielkiego talentu polemicznego". Jedno tylko drobne zastrzeżenie: „Nawet jeżeli sam Stalin pozwala sobie od czasu do czasu na samokrytykę, nie należy do zwyczaju by jakikolwiek komunista ośmielił się skrytykować Wodza, czy choćby ogólnikowo rząd sowiecki. Ta powściągliwość odbiera często wartość znakomitym skądinąd studiom historycznym w Związku Sowieckim, i to samo można powiedzieć o książce Rothsteina. Na przykład — słynny mord katyński. Rosjanie mieli tu znacznie lepszą sprawę, niż to nam do znudzenia usiłowała od lat wmówić propaganda Polaków londyńskich, ale zabrali się do niej z całą gracją starego słonia. Pan Rothstein, zamiast zanalizować tą wysoce zawiłą sprawę, zadowala się stwierdzeniem faktu że Sowiecka Komisja Badawcza „wykazała ponad wszelką wątpliwość" odpowiedzialność Niemców za zbrodnię katyńską. Amen. Bystremu prawnikowi zachodnioeuropejskiemu nie wykazała ona nic, tak jak nie dowiódł niczego gen. Anders".

Amen. Zapewniamy p. Wertha że nawet Stalin ma na sprawę Katynia taki sam pogląd jak gen. Anders. Innego zdania są jedynie prof. Rothstein i sam p. Werth.

Lector.

Silva rerum

W lipcowym zeszycie kwartalnika oxfordzkiego „German Life & Letters" ukazał się szkic L.H.C. Thomasa „Niemiecki i polski nacjonalizm w powieści historycznej". Szkic zestawia „Krzyżaków" Sienkiewicza z powieścią niejakiego Ernsta Wicherta „Heinrich von Plauen" i ukazuje różnice pomiędzy oboma autorami w oświetleniu rzeczywistości historycznej, wynikające z ich nacjonalistycznego nastawienia. Tak np. przysłanie dwóch mieczy Jagielle przez wielkiego mistrza przed rozpoczęciem bitwy pod Grunwaldem Sienkiewicz traktuje jako objaw pychy krzyżaków, podczas gdy Wichert widzi w tym chęć pobudzenia Jagiełły, który wahał się z wydaniem bitwy. Poza tym, według Wicherta, przysłanie miecza przed bitwą należało do dobrych obyczajów i podkreślało gotowość wojska do boju.

Być może, Wichert ma w danym wypadku rację. Jesteśmy często skłonni do przypisywania pewnych powszechnie przyjętych zwyczajów wyłącznie temu czy innemu narodowi. Tak np. słynne „Samuela, przebacz", wyrzeczone przed ścięciem Zborowskiego przez kanclerza Zamoyskiego, a otoczone legendą przez poezję i historiozofię polską jako wzór polskiego stylu politycznego, nie jest szczególną polską osobliwością. W „Historii królowej Elżbiety" Williama Cambdena (Londyn 1719) czytamy, że kat, który miał ściąć Essexa, przed egzekucją prosił go o przebaczenie.

Ale to wszystko nie jest ważne. Ważne jest (jeśli pominiemy nawet tak istotną sprawę, iż „Krzyżacy" są arcydziełem literatury polskiej a „Heinrich von Plauen" pozycją więcej niż mierną w literature niemieckiej) że Sienkiewicz z genialną, proroczą, przekursorką introspekcją umiał wniknąć w pewne cechy psychiki niemieckiej i że na ćwierć wieku przed powstaniem hitleryzmu, ukazał jego najistotniejsze cechy w obrazie krzyżaków. Poczynając od wziętych zresztą z Długosza słów wysłańców wielkiego mistrza: „Mistrz Ulrych kazał wam też oznajmić, panie, że jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach", jakże żywo przypominających słowa Hitlera po wyprawie na Dieppe, kiedy wyśmiewając angielskich „idiotów wojskowych", niemal w tych samych słowach ofiarowywał sojusznikom wycofanie swojej armii z miejsca gdzie zechcą oni lądować, a skończywszy na bezczelnym, aroganckim, pyszałkowatym Kunonie von Lichtensteinie, który stanowi żywy pierwowzór von Ribbentropa (życie naśladuje sztukę — mówił w takich wypadkach Wilde) — wszystko co krzyżackie w „Krzyżakach" znajduje analogię nie w junkierstwie pruskim ale właśnie w narodowym socjalizmie.

L. H. C. Thomas, jak większość intelektualistów angielskich, przygląda się temu co się dzieje na nędznym ziemskim padole z wyżyn abstrakcyjnej pogardy dla rozgrywek „nacjonalistycznych", mierząc równą miarą najeźdźców i najechanych, napastników i obrońców, oprawców i ofiary, ciemiężycieli i uciemiężonych. L. H. C. Thomas pisze że powieść historyczna znajduje się w niebezpieczeństwie, skoro zapominając o swoich zadaniach artystycznych, coraz częściej staje się porte-parolem nacjonalistycznej propagandy. Sformułowanie niewystarczające, chodzi bowiem o to, w jakiej mierze ta nacjonalistyczna propaganda przychodzi do głosu. Gdy współczesny historyk (A. J. P. Taylor) pisze o niewybrednych metodach, stosowanych przez wszystkie dyplomacje świata, nie stawia on wcale znaku równania, np. pomiędzy dyplomacją brytyjską a dyplomacją sowiecką. Wszystko zależy od stopnia nieprawości. Jeśli po bez mała sześcioletniej rzezi Polaków przez Niemców, bez jakiejkolwiek odpłaty ze strony polskiej, autor angielski nie może dostrzec żadnej różnicy pomiędzy nacjonalizmem polskim a nacjonalizmem niemieckim i traktuje jako objaw szowinizmu Sienkiewicza to co było objawem jego jasnowidztwa — widać że „lesson" drugiej wojny światowej jeszcze nie poskutkowała.

Może poskutkuje „lesson" trzeciej.

*

„Tribune de Genève" z 21 września b.r. ogłasza wywiad Edouarda Beauty ze znanym lewicowym politykiem francuskim, siedmiokrotnie ministrem i raz premierem Paul-Boncourem. Paul-Boncour przypomina pamiętne posiedzenie gabinetu francuskiego po zajęciu Nadrenii, kiedy to on, Mandel i Flandin głosowali za zbrojną odpowiedzią. „Wystarczyło w rzeczywistości by kilka dywizji francuskich przekroczyło Ren, aby teatralny zamach Hitlera, który w istocie rzeczy nie był niczym innym niż bluffem, skończył się fiaskiem. Opuszczono wspaniałą okazję. Armia niemiecka nie była gotowa... wypada jeszcze dodać, że w przeciwieństwie do tego co twierdzono, Beck dał znać telegraficznie, że Polska także ruszy (que la Pologne marcherait elle aussi)". Ale Francja nie ruszyła, — dodaje Paul-Boncour, — i odtąd nikt nie chciał się angażować. Przedstawiciele Małej Ententy nie ukrywali swoich nastrojów: skoro Francja nie pośpieszyła na pomoc samej sobie, jakże można wierzyć że pośpieszy na pomoc innym?

Dodajmy że dwukrotna inicjatywa Piłsudskiego w sprawie wojny zapobiegawczej przeciwko Hitlerowi, gotowość Becka przyjścia z odsieczą Francji, wzmocnienie załogi na Westerplatte — wszystko to rozbijało się o głuchy mur milczenia na Zachodzie, który do ostatniej chwili próbował układać się z Niemcami, nawet kosztem Polski, a jednocześnie miotał obelgi na kierowników polskiej polityki zagranicznej za ich rzekome germanofilstwo.

*

Urocza książeczka p.t. „Dykcyonarzyk Teatralny z Dodatkiem Pieśni z naynowszych Oper dawanych na Teatrze Narodowym Warszawskim" (Poznań 1808) pióra — jak stwierdza Estreicher — Adama Dmuszewskiego i Alojzego Żółkowskiego, jest malutką encyklopedią teatralną, nie pozbawioną humoru i zdrowego rozsądku. Da o niej pojęcie kilkanaście wyjątków.

Antreprener. „Dykcyonarzyk" wychwala publiczność wileńską, która jest tak „szczerze przywiązaną do oyczystej sceny... że dotąd żadna cudzoziemska Kompania Aktorów nieznalazła tam przystępu". Mamy teatry polskie w Mińsku, Grodnie (czasami dwa), Tulczynie, Słonimiu, Krzemieńcu, Kamieńcu. Natomiast w Krakowie „Aktorom niemieckim tylko wolno iest bawić, tak Polaków iako też Niemców, że zaś Publiczność Polska iest większa, Niemcy wystawiaią czasem dzieła polskie! i owszem niech uczą naszego ięzyka".

Aktor. „Aktor iest Członek naynaczieyjszy Teatru, udaie różne osoby i ich passyie".

Autor. „Szanowne to nazwisko iest bardzo użytecznym dla Teatru, gdyby bowiem nie było Autorów, niebyłoby dzieł teatralnych a bez dzieł teatralnych niebyłoby Teatru".

Affisz. „Karta drukowana donosząca iaka będzie sztuka na teatrze, przybiia się po ulicach; powszechnie iest drukowany czarno, ale kiedy iest nowa sztuka, wtedy daie mu się rumieniec. — Aktorowie zaś na swoie Benefisa... daią im kolory rożnego gatunku. — Affisz kiedy wychodzi na rzecz Antrepryzy prawie zawsze iest niegrzeczny i prostak, donosi co będzie i nic więcey, kiedy zaś Benefis zwiastuie, nie masz grzecznisia większego, cały w komplementach i uniżonościach".

Akt. „Dykcyonarzyk" wyśmiewa purystów, którzy pragną przezwania aktorów światnikami („niby że zdarzenia światu okazuią"), affisza — bawopisem, komedii — prawdośmiechem albo bawią, opery — dźwiękośpiewem, tragedii — smętośpiewem, aktu — odsłoną.

Dekoracye. Teatr warszawski jest „troche przyciasny. Dekoracye niepodciągnaią dosyć wysoko iżby ie zupełnie zakryć, tak że czasami w Świątyni Jowisza widać wiszące pończochy które są malowane w chatce ubogiey".

Doniesienie. „Doniesienie nie iest toż samo co Affisz, owszem można go nazwać vice affisz".

Epizoda. „Dobra Epizoda przerywa przyiemnie sztukę i bawi słuchacza. Jak w życiu człowieka tak i na scenie się niepotrzebne Epizody"...

Illuminacya. „Aktorowie także illuminowali Teatr na swoie Benefisa, teraz zaprzestali, kładąc za przyczynę że wielość świec, daie nieprzyiemny odor, który może bydź powodem do kataru. — Lecz nam powiedziano pod sekretem, że to dla Menażu robią".

Kulissy. „... do porządku i zupełney illuzyi, koniecznie należy, aby nikt z osób nie należących do sztuki iaka iest graną, z Kuliss niepokazywał się Publiczności. I tak, na przykład, podczas reprezentacyi Tragedyi *Śmierć Abla*, gdzie iest Scena w bliskości raiu, w lat kilkanaście po stworzeniu świata, widać było przez pół Aktu eleganta w czarnym fraku, zimno przez okulary patrzącego na rozpacz Adama i Ewy".

Kontramarki. „Biliony teatralne czyli mnieysze bilety, daią się wychodzącym z swoich miesc na znak że te osoby weszły za biletami i że mogą powrócić. — Tu niemogę wierzyć co mi opowiadano; że Oficialiści teatralni (zawsze niektórzy) wychodzącym pewnym Ichmościom zamiast iednej kilka podtykaią kontramarek".

Kassier. „Pełno iest Kassierów na świecie. Pewien Monarcha rozkazał na Kassierów wybierać samych garbatych, kulawych, zyzowatych, słowem ludzi takich którzyby mieli osobliwsze na swoiey figurze znaki, a to ażeby w przypadu ucieczki z Kassą łatwiey onych opisać było. — Teatr niema potrzeby, aż tak bydź ostrożnym gdyż pieniądze czasami ledwo przenocuią w iego Kassie".

Maszynista. „... odmiany miesc na scenie będące także pod komendą Maszynisty, niepowinny nadto dowodzić mocy mechaniki, to iest: gdy się pokaże w głębi las, niepowinny z boku zostać ściany pokoiu, i przeciwnie, gdy się ukaże pokoy, na bokach iego nie można polować".

Parodya. „... w Parodyi z Hamleta giną wszyscy Aktorowie ieden po drugim a nareście i Sufler widząc że niema iuż komu suflować wyłazi z swey Budy i zabiia się".

Repertoar. „Wyręczaiąc wyżey wspomnionego Autora affiszu, nazywam Repertoar *Sztukozbior*"...

Tragedyia. „Królowa Sceny"...

Teatr. „Teatr iest żywą Historyą wszystkich wieków, iest szkołą ięzyka, iest jak ów śmiały Przyjaciel, co proźen pochlebstwa błędy odważnie wymawia i przestępstwa wytyka. On panuie nad innemi zabawami, on pięknym kunsztom obszerne do popisywania się stawia pole"...

Tytuł. „Niektórzy Autorowie wcale niedorzeczne kładą tytuły". Jako przykład „Dykcyonarzyk" wymienia „Szczęście w Nieszczęściu, czyli Wzór Stałości, Cierpliwości, Miłości i Wdzięczności", „Don Quischot mniemany albo Czekulada kichaiąca", „Wyiazd Dymitra do Kiiowa i Pociski Fortuny odwrocone i znowu w niego utkwione". To samo dotyczy zmian tytułów w przekładach, jak np. „Opiekun oszukany" przerobiony na „Niepotrzebnie się galwanizował". „Panowie także Benefisanci, dla większego połowu robią cudaczne nazwiska sztuk przez Autorów i Tłomaczów przyzwoicie nazwanych. — Antreprenerowie niemniey bez miłosierdzia, i bezkarnie pozwalaią sobie odmieniać myśli, Sytuacye a nawet całe sceny w dziełach, których sami nienapisali, a tym mniey tytułu. Nawet, aby iż tak rzekę, oszukać publiczność, po upłynionym roku wcale inne sztuce iuż reprezentowane daią nazwisko... sami sobie przypisać muszą, gdy komplementom i zachwalaniu affiszowym nikt nieuwierzy — w Berdyczowie, gdy grano pierwszy raz Gawła na Xiężycu, w Affiszu było napisano: „Chociaż Gaweł Warszawski iest dobry, ale i nasz niczego".

Ubiory. „Gdzie nie starczy na porządną Garderobę... przymuszaią wierzyć, że Kontusz, iest Czamara Chińska, Salopa, Płaszczem Hiszpańskim — w pewnym Teatrze Essex, miał na sobie fraczek, modny opasany Szarfą, a *Hamlet* okryty był Płaszczem pożyczonym od Żyda; w innym, *Axur*, żeby się mogł poszczycić z Brylantów, któremi miał wszystkie palce okryte, mimo zakazu Machometa, dobył Tabakierki i częstował tabaką przy sobie na wezgłowiu siedzącą Aspazyą".

*

Autor „Silva rerum" czuje się w obowiązku zaznaczyć że zacytowany w nr. 231 ustęp z prywatnego listu Kazimierza Wierzyńskiego do redaktora „Wiadomości" nie był przeznaczony do druku i że został ogłoszony bez wiedzy poety. Autor „Silva rerum" dopuścił się w ten sposób niedyskrecji, za którą najpokorniej przeprasza.

Notatki angielskie

Gotyk. „Odrodzenie gotyku" Sir Kenneth Clarka, profesora historii sztuki w Oxfordzie i byłego dyrektora National Gallery, ogłoszone po raz pierwszy w r. 1928, wydał ponownie Constable. Jest to świetne studium na temat architektonicznego aspektu tej mody na mediewalizm, która przeniknęła z Niemiec do Anglii w połowie XVIII stulecia, przeobraziła domki prowincjonalne w miniaturowe zameczki gotyckie i zalała wyspę brytyjską powodzią średniowiecznych romansów, pełnych nadprzyrodzonych tajemnic, krwawych zbrodni, okrutnych odwetów i porachunków rodowych. Gotyk był jednym z czynników kształtujących romantyzm angielski, szczególnie wyraźny jest jego wpływ na Coleridge'a; rozgałęziwszy się w satanizm Maturina, dotarł tą drogą do Baudelaire'a i Poego, a potem — po okresie naturalizmu w powieści wiktoriańskiej — do tak różnych pisarzy jak Wilde, Ruskin i William Morris. Głównym rzecznikiem gotyku w Anglii był Horace Walpole, syn wielkiego męża stanu ze stronnictwa wigów, sławny dowcipniś, literat i dyplomata, którego obszerna korespondencja jest jednym z najlepszych źródeł plotek literackich i politycznych z drugiej połowy XVIII w. Walpole zbudował dla siebie pierwszy w Anglii zameczek średniowieczny i wydał w r. 1764 pierwszą powieść gotycką, którą wznowiono teraz w pieczołowitej oprawie drukarskiej. Niestety po przeczytaniu „The Castle of Otranto" łatwo zrozumieć, dlaczego powieść Walpole'a — choć w swoim czasie sławna — była tak mało czytana. Jest to niewiarogodnie źle sklecony melodramat na temat nadprzyrodzonej tragedii, która spadła na dom średniowiecznego tyrana; nieznośnie zawiły i pedantyczny styl Walpole'a ma najgorsze cechy osiemnastowiecznej angielszczyzny, a całkowity brak poczucia humoru nie pozwala nawet traktować „The Castle of Otranto" jako autoparodii. Warto przy tej okazji przypomnieć, że Harold Acton — powieściopisarz, esteta i miłośnik Chin, skarykaturowany okrutnie (jak twierdzą niektórzy) przez Evelyna Waugh w „Brideshead Revisited" — pokazał co można wykrzesać z gotyckiego tematu w swojej ostatniej książce „Prince Isidore". Jest to opowieść o włoskim księciu, którego złe oko przynosi nieszczęście wszystkim napotkanym ludziom. Acton oparł się zwycięsko melodramatycznym pokusom i napisał żywą, dowcipną i świetną opowieść, z zacięciem rabelaisowskim. Dobre ilustracje do „Prince Isidore" zrobił Topolski.

„Celtycki zmierzch". Taką nazwę nosiło irlandzkie odrodzenie romantyczne fin-de-siècle'u, które powstało ze zmartwychstania tradycyjnego folkloru i mitologii Celtów oraz staroirlandzkiego języka Erse. Był to ruch czysto literacki, który nie dotarł nigdy do szerokich mas Irlandczyków. Jego założenia folklorystyczne znaleźć można w pierwszej części wydanych niedawno „Collected Poems" zmarłego w r. 1939 poety irlandzkiego W. B. Yeatsa. Wczesne wiersze Yeatsa są trudne do zrozumienia bez jakiej takiej znajomości mitologii celtyckiej, a noty poety, zamiast wyjaśniać, zamącają rzecz jeszcze bardziej. Drugi okres twórczości Yeatsa stał pod znakiem nie przemyślanej często filozofii okultystycznej i wschodniego mistycyzmu; jego długi utwór prozą „The Vision" próbuje ustalić łańcuch współzależności pomiędzy kwadrami księżyca a usposobieniem człowieka. W jednym ze swoich słabszych szkiców Orwell wykazał jak okultystyczny mistycyzm w połączeniu ze snami o minionej chwale arystokratycznej Irlandii doprowadził Yeatsa do filozofii faszyzmu na długo przed pojawieniem się Hitlera (w tym uogólnieniu na temat mitologizowania przeszłości przez faszyzm Orwell zdaje się jednak zapominać, że socjalizm angielski wracał również chętnie do minionych wieków). T. S. Eliot zwrócił uwagę, że ze wszystkich poetów angielskich Yeats najdłużej rozwijał się jako poeta. Dopiero w późnym wieku Yeats wspiął się na wyżyny wielkiej poezji w swoim „trzecim okresie" — w wierszach, które poruszają filozoficzne zagadnienia starości. Znikły w nich dawne błędy — brak poczucia humoru i natrętna pompatyczność. Yeats zawdzięcza swoją poczytność wspaniałym walorom uczuciowym obrazowania, — jednym z najlepszych w całej poezji romantycznej, — których dopracował się w swoich poszukiwaniach mistycznych i mitologicznych. Nie był symbolistą w pełnym tego słowa znaczeniu, symboliczne bowiem były tylko przygodne elementy w jego poezji, i nie wcześniej niż dopiero w ostatnim okresie jego twórczości symbole poetyckie zaczęły służyć jakiemuś określonemu „celowi".

Kronikarz mód. Osbert Lancaster, z wykształcenia architekt i świetny oraz wyjątkowo złośliwy karykaturzysta, napisał — a raczej narysował — szereg książek, ilustrujących rozwój upodobań architektonicznych i dekoracyjnych w Europie. Ostatnia książka Lancastera „Drayneflete Revealed" jest parodią nadętych dziejów małych miasteczek angielskich, pisanych setkami przez proboszczów wiejskich. Proza Lancastera jest trochę przyciężka a humor wymuszony, ale ilustracje i rysunki architektoniczne, dokładne w wyczuciu epoki a jednocześnie wystarczająco przerysowane aby podkreślić złe i dobre cechy każdego stylu, karykatury malarstwa portretowego od XVI w. do Modiglianiego, dają doskonałą miniaturę historii społecznej Anglii.

Thackeray. Prof. J.Y.T. Greig napisał nową książkę o Thackerayu, w której twierdzi że autor „Vanity Fair" był „poronionym powieściopisarzem". Greig atakuje szczególnie tematykę i sentymentalizm Thackeraya. W „Vanity Fair" (1848) Thackeray rozprawił się ze snobami i nuworiszami — ten ulubiony temat pojawiał się ciągle w jego twórczości, począwszy od „Book of Snobs". Podpatrywał snobów z takim samym zamiłowaniem, z jakim Flaubert studiował mieszczaństwo, chociaż nigdy nie wpadł w gorzką, flaubertowską mizantropię. Greig narzeka za wieloma innymi krytykami, że „tępienie snobów" jest ostatecznie bezużyteczną rozrywką. To prawda, że Thackeray nie interesował się dołami społecznymi — przypuszczalnie dlatego że nie sprzyjały one pojawianiu się nuworiszów — a jego ignorancja w sprawach społecznych przeszkadzała mu dać tak pełny obraz życia wiktoriańskiego, jaki znajdujemy u Dickensa lub George Eliot. Thackeray zajmował się analizą towarzystwa a nie społeczeństwa, ale na tym ograniczonym odcinku nie dorównywał mu nikt inny — nawet Dickens. Uniknął również na szczęście losu Dickensa, którego byle reformator społeczny lub bzik rewolucyjny uważał za swojego prekursora, i opisywał tylko to co widział, nie szukając zwady ze społeczeństwem. Greig oskarża Thackeraya o sentymentalizm, o „rozklejanie się" na dźwięk słów „matka" i „dziecko" (z gotową interpretacją freudowską pod ręką), o malowanie wszystkich kobiet techniką czarno-białą. To już zwykła przesada. Thackeray nie tracił nigdy poczucia humoru i wychodził ze skóry, żeby wykazać że szlachetne kobiety są również głupie, nudne i naiwne, a demoniczna heroina z „Vanity Fair" jest osobą ciekawą i z charakterem. Nie ma w nim nic z lepkiego i pozbawionego poczucia humoru sentymentalizmu „Maleńkiej Dorrit" czy „Dawida Copperfielda". Jego ironia jest ostrzejsza niż u Dickensa, a gdyby napisał „Klub Picwicka", postawiłby w nim pod bezlitosny pręgierz napuszoność i pedanterię. Wreszcie Greig trochę za pośpiesznie przekreśla krótsze utwory prozą i szkice Thackeraya, których mistrzostwo przewyższało znacznie Dickensa; dwie stroniczki komentarza na temat rozwydrzenia francuskiej literatury romantycznej mogą służyć za wzór krytyki.

Biblioteki publiczne. National Book League urzędziła wystawę dla uczczenia setnej rocznicy pierwszego Public Libraries Act. Wystawa przynosi wiele dowodów cennego dorobku instytucji bibliotecznych w Anglii. Oficjalna broszura wystawy podkreśla konieczność większej centralnej kontroli nad bibliotekami, ściślejszej współpracy pomiędzy bibliotekami i władzami lokalnymi, oraz ustalenia skali wydatków rad miejskich na biblioteki. Nie ma w niej natomiast słowa na temat innych wad systemu bibliotecznego w Anglii: skąpego i niefortunnego często doboru książek z zakresu historii, sztuki, nauki i wydawnictw obcojęzycznych, oraz niskich płac dla personelu, które odstraszają od pracy w bibliotekach publicznych najbardziej doświadczonych pracowników.

Czasopisma. Po dziesięciu lat istnienia „Penguin New Writing" wydał we wrześniu ostatni numer i przestaje wychodzić. „Penguin New Writing" powstał w czasie wojny z redagowanego przez Johna Lehmanna organu pisarzy lewicowych „New Writing" i zamienił się w niezależne czasopismo, wprowadzające na rynek angielski pisarzy francuskich i amerykańskich, jak Sartre, Guilloux, Capote i Trilling, polskich, jak Broniewski i Baliński, oraz pomagając zadebiutować znanym już dziś pisarzom angielskim, jak William Sansom czy Jocelyn Brooke. W dziale krytycznym „Penguin New Writing" ukazały się tak podstawowe szkice literackie, jak Waltera Allena o Huxleyu i L. A. G. Stronga o Joyce'ie. Zamknięcie „Penguin New Writing" stanowi niepowetowaną stratę dla czasopiśmiennictwa literackiego w Anglii. Jednocześnie zaczęło znowu wychodzić, po pokonaniu trudności finansowych, czasopismo krytyczne „Mandrake", redagowane przez młodego poetę Arthura Boyarsa.

Eliot na ekranie. „Mord w katedrze", dramat poetycki T. S. Eliota o męczeństwie św. Tomasza a Becket, nakręcany jest obecnie przez małą i niezależną spółkę filmową. Sam Eliot uważał tą sztukę za eksperyment, za pierwszy krok do „Family Reunion" i „Cocktail Party", dwóch dramatów poetyckich które miały usprawiedliwić jego wiarę w możliwość wprowadzenia poezji na scenę. Wszystkie trzy sztuki poruszają zagadnienia religijne, ale jedynie „Mord w katedrze" pisany jest retorycznym, poetyckim dialogiem, który Eliot zarzucił potem na rzecz dialogu zbliżonego do nowoczesnej rozmowy. Poważną przeszkodą w filmowaniu „Mordu w katedrze" musi być zapewne jego wątła akcja; wszyscy znają historię czterech rycerzy, którzy z własnej inicjatywy zamordowali Becketa w katedrze kantuaryjskiej, posłuchawszy przedtem gwałtownego przemówienia Henryka II przeciwko arcybiskupowi Canterbury. Eliot nie zajmuje się historycznym tłem tego wypadku, z jego punktu widzenia nie ma znaczenia, że męczeństwo Becketa i pokuta nałożona na króla cofnęły w państwie reformy w dziedzinie prawa kościelnego o kilka stuleci. W sztuce występuje tylko religijna strona zagadnienia, a dla zrównoważenia braku akcji i małej ilości postaci Eliot wprowadził chór kobiet komentujących wypadki, wkładając w ich usta najlepsze partie poetyckie sztuki. Dwa ustępy, napisane prozą, — długie kazanie Becketa i przemówienia rycerzy uzasadniające mord,— powiedziane do widowni nowoczesnym językiem, z modną w przedwojennych dramatach wierszem żartobliwością, nadają się doskonale do filmu. Film reżyseruje Węgier Hoellering, który ma za sobą krótkometrażówkę w stylu Eisensteina, pokazującą nadejście maszyn do chłopów z węgierskiej puszty. Będzie to ciekawy i śmiały eksperyment, gdyż w przeciwieństwie do dwóch dramatów szekspirowskich, sfilmowanych przez Oliviera, nie ma w nim okazji do festynów, bitw i pojedynków, cały natomiast nacisk musi być położony na język i konflikty wewnętrzne bohatera sztuki.

Alan Rawsthorne. Nie jest bynajmniej rzeczą zaskakującą, że 45-letni kompozytor z Lancashire Alan Rawsthorne uchodzi dziś za jednego z najzdolniejszych muzyków angielskich młodego pokolenia. Pierwszy poważny utwór Rawsthorne'a „Symphonic Sketches" grany był po raz pierwszy w r. 1939 w Warszawie. Dorobek Rawsthorne'a jest skromny — składa się m.in. z koncertu fortepianowego, kwartetu skrzypcowego i kilku pieśni — ale to co napisał jest tak wykończone i opanowane że stanowi na pewno małą część jego warsztatu muzycznego. Muzyka Rawsthorne'a jest przede wszystkim intelektualna i przeciwstawia się kakofonii kontynentalnego modernizmu. Rawsthorne odrzuca popisy wirtuozerii technicznej, chociaż nie ulega wątpliwości że panuje znakomicie nad środkami muzycznymi. Te cechy przemawiają do smaku angielskiego, i fakt że Rawsthorne jest jedynym kompozytorem bez ustalonej pozycji, który komponuje dla filmów a mimo to przyciąga swoimi utworami znaczną uwagę krytyków, jest zastanawiający wobec intelektualnego snobizmu, z jakim ocenia się w Anglii kompozytorów.

Notatki francuskie

Korespondencja Sainte-Beuve'a. Wyszedł w druku t. VI „Correspondance générale" znakomitego krytyka doby romantycznej. Jest to wydanie naukowe, niezmiernie starannie opracowane. Świeżo wydany tom obejmuje lata 1845-1846 i nosi tytuł „Sainte-Beuve à l'Académie Française". Autora „Port Royal" wprowadził pomiędzy „nieśmiertelnych" Victor Hugo z początkiem r. 1845.

Valéry Larbaud. Znakomity conradysta francuski, jeden z pierwszych i najgłębszych badaczy twórczości Conrada, niedawno zmarły Jean-Aubry ogłosił tuż przed zgonem rzecz o młodości Valéry'ego Larbaud. Jest to świetna, źródłowa książka o żyjącym pisarzu, bardzo wybitnym ale dzisiaj trochę zepchniętym w cień. Główne jego dzieło „A. O. Barnabooth" zajmuje ważne miejsce w literaturze francuskiej. Wielki, nie żyjący już krytyk Albert Thibaudet uważał, że wraz z „Les caves de Vatican" Gide'a, „Le grand Meaulnes" Fourniera, „Du côté de chez Swann" Prousta, „Barnabooth" należy do najważniejszych utworów, które ukazały się w przeddzień pierwszej wojny światowej; według niego stanowią one wydarzenie rewolucyjne w powieści francuskiej, pierwsze od r. 1830. „Barnabooth" stworzył nowy styl powieści podróżniczej. Jego autor jest pierwszym i głównym przedstawicielem kosmopolityzmu literackiego; sam siebie określił jako „wiecznego uchodźcę ze wszystkich środowisk". Mówi po katalońsku, włosku i angielsku, przełożył główne dzieła Samuela Butlera, torował we Francji drogę wielu pisarzom angielskim. Syn katolika i protestantki, pod wpływem katolików angielskich nawrócił się na wiarę swego ojca. Mieszka z dala od głównego środowiska literackiego, w Vichy.

Nowe książki Camusa. Albert Camus wydał dwie książki: „Le Minotaure ou la halte d'Oran i „Actuelles". Ta druga jest zbiorem artykułów publicystycznych z lat 1944-1948. Camus, głosiciel „filozofii absurdu", sformułowanej w „Mythe de Sisyphe", brał czynny udział we francuskim ruchu oporu i „Actuelles" ukazują go jako pełnego determinacji bojownika. Świeżo ukończył on ważny essay „L'homme révolté" nad którym pracował pięć lat. Bunt stanowi drugą stronę jego postawy życiowej. Głosząc absurdalność wszystkiego, Camus upatruje jedyną możliwą odpowiedź, jedyną wielkość człowieka w heroicznej rewolcie przeciw temu co go otacza i na co jest skazany.

Wakacje pisarzy. „Figaro Littéraire" rozpisał ankietę wśród 150 pisarzy z zapytaniem, gdzie i jak spędzają wakacje. Okazało się, że pisarze ciągną tymi samymi szlakami co zwykli śmiertelnicy: do Bretanii, Normandii, Sabaudii, na Côte d'Azur. Przytłaczająca większość odpowiedziała, że wyjeżdża na wakacje po to, by pracować literacko. Z polskimi pisarzami na emigracji rzecz ma się odwrotnie: nie wyjeżdżali na wakacje, ale w przeważnej części nie pracowali piórem.

„Théâtre du Peuple". W Bussang, małym miasteczku w Wogezach, od pięćdziesięciu lat istnieje letni teatr ludowy pod gołym niebem. Jest dziełem Maurice Pottechera, który zaczął swoją pionierską działalność jako 28-letni młodzieniec a dziś liczy 83 lata. Pottecher, przyjaciel Jules Renarda i Courteline'a, otworzył swój teatr molierowskim „Lekarzem mimo woli", przełożonym... na gwarę Haute Moselle. Później przez lata głównie sam dostarczał repertuaru, czerpiąc gęsto z legend miejscowych, łącząc realizm z fantastyką. W ostatnim roku wystawił własną przeróbkę „Makbeta". Zespół Pottechera był od początku zespołem amatorskim z wyjątkiem jego żony, niegdyś aktorki teatru Antoine'a i „Théâtre d'Art", który w okresie symbolizmu odegrał doniosłą rolę. Przedsięwzięcie państwa Pottecher, wzruszające świadectwo entuzjazmu i bezinteresowności, równie długowieczne jak oni sami, stanowi wzór regionalnych scen plenerowych. Od niego wywodzą się w prostej linii także wspaniałe festivale dramatyczne w Avignonie i w Nîmes oraz festivale operowe w Aix en Provence, które dzisiaj są atrakcją międzynarodową.

Miscellanea

Więcej krwi. Ofiary wojny atomowej będą wymagały znacznej ilości krwi do transfuzji. Trzej lekarze z uniwersytetu w Chicago ogłosili świeżo dokładne cyfry na ten temat. Dwie bomby atomowe, rzucone na jakiekolwiek duże miasto w Stanach Zjednoczonych, zranią pół miliona ludzi. Dla każdego rannego trzeba będzie pół kwarty krwi co drugi dzień w ciągu miesiąca. Daje to w sumie 3 miliony 750 tysięcy kwart krwi, czyli prawie o połowę więcej niż zebrano w Ameryce w ciągu drugiej wojny światowej.

Tarle redivivus. Słynnego historyka sowieckiego Tarle, który w ciągu ostatnich kilkunastu lat spóźniał się ciągle na pociąg stalinowskich poprawek historycznych, wyciągnięto znowu z lamusa. Tym razem po to, żeby przypomnieć czytelnikom „Litieraturnoj Gaziety", że zdaniem Stalina kapitalizm i komunizm mogą współżyć ze sobą pokojowo „we współzawodnictwie na polach kultury, wiedzy i techniki". Biedny Tarle! Odkomenderowali go do tak delikatnej sprawy, której aspekty zmieniają się już nawet nie co parę lat, ale co parę miesięcy.

Dwaj panowie Pickwick. Dickens nie robił tajemnicy z tego, że nazwisko dla swego bohatera zapożyczył wprost od właściciela dyliżansu w Bath. Pan Pickwick z Bath nie żył dość długo, aby utonąć bezpowrotnie wśród niezliczonej ilości przedmiotów i zwierząt, które ochrzczono potem jego nazwiskiem. Nie doczekał więc również chwili, kiedy jego imiennik z Bradford-on-Avon zmuszony był ogłosić w „Times"ie, że „od tej chwili wyrzeka się na zawsze starego i zaszczytnego nazwiska Pickwick".

Modernizacja. Jak nisko upadli Francuzi! „Ministère des Beaux-Arts" zajmuje się w Prowancji odnawianiem niektórych pomników rzymskich. W Orange delikatne choć mocno podniszczone ornamenty na Łuku Tryumfalnym Cezara usuwa się i zastępuje nowymi wzorami à la Marble Arch.

Wynalazki. Nie tylko Rosjanie „rewindykują" swoje prawa do pierwszeństwa w dziedzinie wynalazków. Na wystawie w Ilford Gallery pokazano „rysunki fotogeniczne" W. H. Fox-Talbota, wykonane na sześć miesięcy przed ogłoszeniem przez Daguerre'a techniki pierwszej fotografii.

Stulecie melonika. Prasa angielska przypomniała, że w tym roku mija sto lat od wprowadzenia melonika. W związku z tym jeden z najpoważniejszych dzienników ubolewa, że „bowler" (od nazwiska fabrykanta) nie przyjął się na kontynencie, i dopatruje się we francuskiej nazwie „chapeau melon" odcienia złośliwości.

W dalszych numerach „Wiadomości" ukażą się m.in.: **Stefana Badeniego** „Arcyksiążę Franciszek Ferdynand Este", **Włodzimierza Bema de Cosban** „Nieznany rękopis gen. Bema o węgierskim pochodzeniu jego rodziny", **Zofii Bohdanowiczowej** „Ogródek", **Adriana Carton de Wiarta** „Polityka polska" i „Burza wybucha" (dalsze fragmenty książki „Szczęśliwa odyseja" w przekładzie **Krzysztofa Muszkowskiego**), **Gustawa Herlinga-Grudzińskiego** „Krzyki nocne", **Johna Keatsa** „Do nadziei" w przekładzie **Stanisława Balińskiego**, **Jana Lechonia** „Notatki z dziennika", **Jana Leszczy** „Zabawa z chochołem" i „Chleb", **Mieczysława Lurczyńskiego** „Powrót", **Józefa Łobodowskiego** „Kasydy i gazele", „Mitologia", „Scena nad jeziorem", „Syn marnotrawny" i „Pieśń o Krzysztofie" (fragment), **Henryka Łubieńskiego** „Ibiza", **Stanisława Mackiewicza** „W drzwiach do katorgi" (z cyklu „Dostojewski"), **M.K. Pawlikowskiego** „Wielki facecjonista litewski", **Bolesława Pomiana** „Farma trzech sierżantów", **W.J. Rose'a** „Na Górnym Śląsku w latach 1932—1934", **Michała Sambora** „Druga strona", „Katolicyzm" i „Lamma Sabachtani?", **Stanisława Strońskiego** „Włókna polskie w tkaninie Churchilla", **Władysława Studnickiego** „Sprawa ukraińska", **Tadeusza Sułkowskiego** „Maski" (o wierszach Marii Pawlikowskiej), **Tymona Terleckiego** „Podzwonne za Marię Pawlikowską", **J.A. Teslara** „Komedia ludzka wobec Absolutu", **Stanisława Westfala** „O myśliwskim „kobiety" pochodzeniu", **Kazimierza Wierzyńskiego** „Ballada o pewnej zgubie", „Gramatyka na prywatny użytek", „Na cześć rododendronu", „Depesza", „Anioły" i „Pijaństwo", **Zbigniewa Zaniewickiego** „Garść wspomnień o Miriamie", **Alfreda Zaubermana** „Cywilizacja antyheroiczna a Polska", **Jerzego Zdziechowskiego** „Dwa pochody na Warszawę (1920—1944). Prorok Lenin i dyktator Stalin".

Korespondencja

ECHA ANKIETY CONRADOWSKIEJ W AMERYCE

Do redaktora „Wiadomości"

W związku z ogłoszoną w nr. 220 „Wiadomości" notatką o conradianach prof. H. T. Webstera, będącego niewątpliwie najwybitniejszym w Stanach Zjednoczonych znawcą twórczości Conrada, przypuszczam, że zainteresuje Pana opinia Webstera o ankiecie „Wiadomości" (nr nr 158 i 171):

„I was most happy to get your letter and the copies of „Wiadomości". I thought the results of the questionnaire quite interesting, with J. B. S. Haldane's answer on the whole the best summary of the matter. The questions themselves did not seem to me especially well devised. The reputations of few 20th Century prose writers have declined less than Conrad's. This would certainly include such immediate successors as Aldous Huxley and Ernest Hemingway who seemed like commanding figures a few years after Conrad's death. Among the authors questioned only Shaw could lay an assured claim to an equal place. As for Conrad's prose style, which is really quite varied, a certain degree of exoticism was admitted from the first. He did not have a command of idiomatic English in his earliest novels and wrote in what I call an „international style", but in his later work his idiomatic command of the language as evidenced by the manuscripts should very well have been the despair of all writers but three or four master technicians, one of whom — Norman Douglas — had been under Conrad's tutelage in his own literary apprenticeship. Conrad's later originality is sometimes confused with his early „exoticism". Like other writers who aim at top levels, he felt free to „enrich the language" (his phrase) with „touches of Polish idiom and other idiosyncrasies of his own".

Leopold Wellisz
(Nowy Jork).

TO CYTAT Z CONRADA

Do redaktora „Wiadomości"

Cytat francuski, którego użył Edward Crankshaw w recenzji z książki gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego (patrz nr 237 „Wiadomości") jest wyjątkiem z listu Conrada do R.B. Cunninghama-Grahama z 8 lutego 1899. Conrad odpowiedział odmownie na zaproszenie do wzięcia udziału w zebraniu pacyfistycznym, w którym mieli wziąć udział także Rosjanie. Pełny tekst listu znaleźć można w t. I. pracy George'a Jean-Aubry „Joseph Conrad Life and Letters" (Londyn 1927).

Mariusz Hrynkiewicz-Moczulski.

MICKIEWICZ I LITWA

Do redaktora „Wiadomości"

List p. Juozasa Keksztasa („Wiadomości", nr 236) jest wzruszający. Jednak co do Mickiewicza, p. Keksztas w sposób oczywisty nie ma racji. Mickiewicz, to nie był „Litwin, który pisał w języku obcym", ale Polak, który pisał w swoim języku ojczystym. Był on wprawdzie jednocześnie i Litwinem — ale wyrazem „Litwin" Mickiewicz i p. Keksztas określają dwa zupełnie różne pojęcia.

Mickiewicz napisał w „Księgach pielgrzymstwa": „Litwin i Mazur bracia są; czyż kłócą się bracia o to, że jednemu na imię Władysław, drugiemu Witowt? Nazwisko ich jedne jest, nazwisko Polaków". Mickiewicz uważał więc pojęcie „Litwin" za pojęcie dzielnicowe, a nie narodowe. Mickiewicz pochodził z nowogródzkiego, gdzie Litwinów w znaczeniu narodowym nie ma, gdzie natomiast ludność miejscowa, w swej masie, posługuje się dwoma tylko językami: polskim i białoruskim. (Wedle urzędowego spisu polskiego z r. 1931 w województwie nowogródzkim było 52,4% ludności, mówiącej po polsku, 39,1% po białorusku, 7,3% po żydowsku). Nazwisko miał białoruskie (syn Mićki). Językiem, którym mówił odkąd jako dziecko oczy otworzył na światło, aż do śmierci, był język polski. Uczucia patriotyczne jego — jakże gorące! — były polskie. Z nowoczesną narodowością litewską, do której należy p. Keksztas, nie miał nic wspólnego.

Co do owego polskiego kapitana na Piedimonte, ogarniałby nas wstyd, gdyby ... Gdybyśmy już tylu takich polskich kapitanów nie widzieli, że nasza wrażliwość stępiała.

Jędrzej Giertych.

KRASIŃSKI I GOETHE

Do redaktora „Wiadomości"

W interesujących notatkach Stanisława Strońskiego o Goethem i Polsce („Wiadomości", nr nr 219 i 230) znalazłem pewną lukę. W „Herburcie" Zygmunta Krasińskiego (rozdział III) mowa o dwóch rodzajach wieszczów: „Jedni pojęli co zewnątrz nich żyje, drudzy czują własne wnętrzne ducha głębie". Krasiński zalicza Szekspira i Goethego, autora „Fausta", do pierwszych, mówiąc: „Kocham Romea, a Szekspirowi bym dłoni nie podał. Za Małgorzatą pójdę do piekła, idąc bym salon Goethego ominął". Krasiński, w przeciwieństwie do Mickiewicza, nie skorzystał ze sposobności złożenia szacunku Jowiszowi weimarskiemu.

Może ta drobna moja uwaga uzupełni skrzętny artykuł prof. Strońskiego.

J.K. Prawdolubski.

KSIĄŻKA O KATYNIU

Do redaktora „Wiadomości"

Nawiązując do wzmianki w nr. 235 „Wiadomości" o recenzji w „Times Literary Supplement" z książki Józefa Mackiewicza o Katyniu, chciałbym dodać, że książka ta, w której wydaniu byłem trochę pomocny, doczekała się licznych i bardzo pochlebnych omówień w prasie europejskiej. M.in. wydawany przez Information Services Division w strefie amerykańskiej Niemiec kwartalnik „Ostproblem" pisał: „Ta w rzeczowym tonie utrzymana historia straszliwej zbrodni nie pozostawia żadnej wątpliwości, że winy za nią nie ponosi, wyjątkowo w tym wypadku, Hitler. Z nieubłaganą skrupulatnością sędziego śledczego autor bada fakty, z których wznosi, kamień po kamieniu, gmach nieodpartego dowodu". A szwajcarski miesięcznik „Der Turmwart" poświęcił omówieniu książki 16 stron p.t. „Prawda i ostrzeżenie": „Dzieło to ukazuje niebezpieczeństwo bolszewickie bardziej przekonywająco, niż Krawczenko, i bardziej wnikliwie, dosadnie, niż proces Mindszenty'ego".

Rad jestem przy tej sposobności podzielić się wiadomością że książka Mackiewicza już w najbliższym czasie ukaże się także po angielsku.

I jeszcze jedno. Z niemałym zdziwieniem przeczytałem w nr. 235 „Wiadomości" w przeglądzie prasy wzmiankę o interesującym artykule Mackiewicza w „Contemporary Issues" w której nie ma ani słowa o koncepcji artykułu (konieczność wojny z bolszewizmem) a dowolnie wyrwane zdania z artykułu zostały zacytowane wyraźnie tendencyjnie. Dziwi mnie to tym więcej że „Wiadomości" cieszą się opinią pisma obiektywnego.

Józef Godlewski.

*

L.S. w Waszyngtonie. Dziękujemy za pamięć.

Dr M.S. we Fryburgu. Uprzejmie dziękujemy.

S.G. w Manchesterze. Za życzenia uprzejmie dziękujemy.

„LUDZIE SPONIEWIERANI" — DARMO

— ten wybitnie interesujący zbiór opowiadań, pióra **HERMINII NAGLEROWEJ**, otrzyma **bezpłatnie, jako nagrodę wstępną,** każdy, kto w październiku b.r. wstąpi do

KLUBU KSIĄŻKI POLSKIEJ

i zamówi po zniżonej cenie klubowej przynajmniej jedną z książek wymienionych w **wyborze na październik 1950**

A.J. Cronin: CYTADELA. Modny lekarz badał słynne gwiazdy filmowe, wynajdywał choroby u starszych, bogatych kobiet, bez skrupułów pobierał wysokie honoraria, a jednocześnie gonił za złudą użycia. Przebudzenie z tego szaleństwa przyszło nagle i było tragiczne. Cronin po raz pierwszy odważnie odsłonił kulisy angielskiego świata lekarskiego — powieść jego wywołała ogromne poruszenie. — **Cena 18s., dla członków Klubu 13s. 6d. (przesyłka 9d.).**

Carlo Levi: CHRYSTUS ZATRZYMAŁ SIĘ W EBOLI. Akcja tej pięknej powieści-pamiętnika rozgrywa się w Lucanii, jednej z najbardziej dzikich prowincji włoskich. Książka wyróżniona przez najpoważniejsze kluby książki w Wielkiej Brytanii i Ameryce. — **Cena 12s. 6d., dla członków Klubu 8s. 9d. (przesyłka 9d.).**

Alain Fournier: DUŻY MEAULNES. Powieść ta zajęła trzecie miejsce wśród 12 najwybitniejszych powieści bieżącego stulecia, w ankiecie zorganizowanej przez wielki dziennik paryski „Paris - Presse". — **Cena 6s. 6d., dla członków Klubu 4s. 9d. (przesyłka 6d.).**

Szymon Askenazy: KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI: Piąte, pełne wydanie głośnej książki historycznej o życiu księcia Józefa. Pokaźny tom dużego formatu.— **Cena 12s. 6d., dla członków Klubu 8s. 6d. (przesyłka 9d.).**

Generał Tadeusz Bór-Komorowski: THE SECRET ARMY. Książka **w języku angielskim** o doniosłej wartości historycznej, przynosi pełny obraz polskiego ruchu podziemnego oraz powstania warszawskiego. Wspomnienia gen. Bora są pasjonującą lekturą i stanowią doskonały upominek dla brytyjskich przyjaciół. Oprawa płócienna z wytłoczonym godłem Armii Krajowej. — **Cena 21s. (przesyłka 1s.).**

Poza wyborem na październik b.r. polecamy książkę najbardziej praktyczną i potrzebną w każdym domu: **Alina Gniewkowska: WSPÓŁCZESNA KUCHNIA DOMOWA.** Najlepsza polska książka kucharska, przystosowana do powojennej rzeczywistości, zawierająca przeszło 800 różnych przepisów ze wszystkich dziedzin sztuki kulinarnej i cukierniczej, liczne wskazówki praktyczne oraz projekty obiadów na cały rok. — Pokaźny tom dużego formatu, solidna, trwała oprawa. — **Cena 20s. (przesyłka 1s.).**

Członkiem Klubu może zostać każdy i członkostwo jest bezpłatne; wymagana jest jedynie **opłata wstępna w wysokości 4s. 6d.** Członkami Klubu mogą być również hostele, koła kombatanckie i inne organizacje, biblioteki, szpitale, spółdzielnie czytelnicze i t.p. Każdego miesiąca Klub ofiarowuje swoim członkom **do dowolnego wyboru** przynajmniej 4 wysoce interesujące i wartościowe książki **po cenie 25% do 50% niższej od katalogowej** — zapewniając jednocześnie **liczne nagrody w postaci książek gratis.** Członkowie Klubu mają przywilej nabywania po cenie klubowej książek, które ukazały się w poprzednich wyborach.

Zgłoszenia na wstąpienie do Klubu (wraz z opłatą wstępną, należnością za wybrane książki i ich przesyłkę) należy nadsyłać listownie lub na niżej podanym kuponie do

POLISH BOOK CLUB c/o THE VISTULA PRESS LTD.

449, Oxford Street, London, W.1.

(należy wyciąć, wypełnić i wysłać)

....

Do POLISH BOOK CLUB c/o The Vistula Press Ltd., 449, Oxford St., London, W.1

Proszę o przyjęcie mnie jako członka do Klubu Książki Polskiej i o przysłanie mi książek, oznaczonych krzyżykiem:

( ) **CYTADELA** ( ) **CHRYSTUS ZATRZYMAŁ SIĘ W EBOLI** ( ) **DUŻY MEAULNES**

( ) **KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI** ( ) **THE SECRET ARMY**

( ) **WSPÓŁCZESNA KUCHNIA DOMOWA**

W załączeniu przesyłam **opłatę wstępną 4s. 6d.,** oraz należność za wybrane książki i ich przesyłkę. Proszę również o przysłanie mi **bezpłatnie** (jako nagrody wstępnej) książki p.t. **LUDZIE SPONIEWIERANI.** Na przesyłkę tej książki załączam 6d. Ogółem przesyłam..

Imię, nazwisko i dokładny adres ....
(drukowanymi literami)

....

KRONIKA

MICKIEWICZ I SŁOWACKI PO NIEMIECKU

W Bonn zapowiadają nowe wydanie „Pana Tadeusza" w przekładzie Siegfrieda Lipinera oraz „Króla-Ducha" w nowym przekładzie Rudolfa Nowowiejskiego („König-Geist. Rhapsodische Dichtung)".

„WIADOMOŚCI LITERACKIE": 1200 DOLARÓW

Jedna z nowojorskich antykwarni ogłasza że ma do sprzedania komplet „Wiadomości Literackich" za 1200 dolarów. Przed wojną abonament roczny „Wiadomości" kosztował ok. 8 dolarów. „Wiadomości" wychodziły przez niecałe 16 lat. Łatwo obliczyć jak poszły w górę. Ten skok o prawie 900% powinien stanowić zachętę dla licznych obojętnych, do prenumerowania „Wiadomości". Jest to, jak widać, dobra lokata kapitału.

A JEDNAK SĄ CZYTELNICY

Druk powieści Jędrzeja Giertycha „W Polsce między dwiema wojnami" dobiega końca. Do 10 października b.r. wpłynęło 1412 przedpłat dosłownie z całego świata. Przedpłata po cenie ulgowej 15 s. zostaje zamknięta 1 listopada b.r. (zamówienia należy nadsyłać pod adresem autora, 16 Belmont Road, N.15). Po tej dacie będzie obowiązywała normalna cena t.j. 30 s.

POLSKI MEYERHOLD?

Leona Schillera usunięto nie tylko z kierownictwa Instytutu Teatralnego ale ze stanowiska dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie. Miejsce jego zajął Bronisław Dąbrowski, dotychczasowy dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie.

JURY NAGRÓD LITERACKICH

Podajemy raz jeszcze skład jury nagród literackich Polskich Oddziałów Wartowniczych w Niemczech (por. nr 237 „Wiadomości"): płk. Antoni Bogusławski; przedstawiciel „Ostatnich Wiadomości" wydawanych przez Polskie Oddziały Wartownicze mgr. Ludwik Bojczuk; przedstawiciel komendanta głównego Oddziałów, płk. Sobolty, ppłk. Juliusz Filipkowski; prof. Stanisław Stroński; dr Tymon Terlecki.

NA MARGINESIE BIOGRAFII WIERZYŃSKIEGO

W notatce „Chopinista o Chopinie", wydrukowanej w „Notatkach francuskich" w nr. 231 „Wiadomości", znalazły się nieścisłości. Książka Wierzyńskiego „The Life and Death of Chopin" nie jest, oczywiście, „vie romancée", jak podano, lecz biografią w najściślejszym znaczeniu słowa. Pomysł do niej poddał Wierzyńskiemu Artur Rodziński. Artur Rubinstein napisał przedmowę do książki i polecił ją znanej firmie wydawniczej Simon i Schuster w Nowym Jorku.

NIEPOTRZEBNA LAURKA

W dodatku do „Gazety Niedzielnej" z 15 października r.b. p.n. „Gazeta Literacka" w rubryce „Ciosy i uniki" nie bez słuszności pisze J.B.:

„Istnieje polskie przysłowie, określające nieoczekiwany postępek — upadkiem z pewnego domowego zwierzęcia. Otóż z byka spadł ostatnio Mieczysław Grydzewski... któremu najniespodziewaniej strzelił do głowy koncept, aby własnymi rękami uwić dla siebie we własnym organie laurkę z racji przyznania redaktorowi nagrody literackiej „Dziennika Polskiego". W ten sposób redaktor dał wyraz entuzjazmowi swych współpracowników, wyrażonemu w listach prywatnych".

Kostiumy kroju i stylu kontynentalnego

VANEK'A

Futra naprawia, czyści i przechowuje

4, William Street, Knightsbridge, S.W.1.

filia w Bournemouth

CZYTELNICY O „WIADOMOŚCIACH"

R.B. w Paryżu: ... et laissez-moi vous redire mon admiration pour les „Wiadomości" qui resteront comme une des plus hautes pages de la culture polonaise.

M.C.: Cieszę się że „Wiadomości" przezwyciężyły kryzys drukarski; nr 236 jest już typograficznie na poziomie brukselskich.

F.G. w Waltham Abbey: „Wiadomości" wśród prasy uchodźczej są gwiazdą przewodnią — skupiają najtęższe intelekty z **Zygmuntem** na czele.

Z.G. w Huddersfield: Wyrażam ... swoje wielkie uznanie dla pracy Panów i osiągniętych wyników. Postaram się zdobyć nowych abonentów dla wartościowego pisma, które broni naszej kultury przed wypaczeniem.

M.K.: Pracę Lechonia o życiorysach w nr. 235 czytałem z radością — nie tylko że świetnie napisana, ale trafna i głęboka.

W.K. w Brukseli: ... wdzięczność za ... niezmiernie wartościowe „Wiadomości" ...

L.B.M.: Dałem się skusić i choć jestem bezrobotnym (i długo bez jakichkolwiek widoków na przyszłość ze względu na inwalidztwo — oczywiście nie uznane przez władze angielskie, bo rana z r. 1919, a serce i kręgosłup, to, powiadają, już mi się tak należało z wieku i ich to nic nie obchodzi), wznawiam prenumeratę ... bo „Wiadomości" to jednak ogromna przyjemność, której trudno sobie odmówić.

B.S. w Jos (Nigeria): Po pięciu latach nie mówienia i nie czytania po polsku ... spotkałam Polaka ... dał mi kilka egzemplarzy „Wiadomości". Pismo to poruszyło mnie do głębi i odżywiło. Tych kilka egzemplarzy pożyczonych wypełniło mi kilka dni i dało radość wielką, przeniosło w inny prawdziwy świat.

Inż. Eugeniusz Mikke z Manchesteru proszony jest przez p. Gustawa Herlinga - Grudzińskiego (312, Finchley Road, London, N.W.3) o podanie swego adresu.

Published by „Wiadomości",
54, Bloomsbury St., W.C.1.
Superior Printers Ltd. (T.U.), London